MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 1. WARSZAWA, 3 STYCZNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZY MOŻNA PRZEWIDYWAĆ PRZYSZŁOŚĆ GOSPODARCZĄ?

O NIEDOMAGANIACH i utrapieniach gospodarczych, których doznają dzisiaj wszystkie państwa świata, pisze się bardzo wiele. Różne instytuty badania konjunktur, wydawnictwa Ligi Narodów, publikacje banków, wreszcie prywatne opracowania nagromadziły olbrzymi materjał statystyczny. Dzięki niemu możemy poznać dokładnie objawy choroby, którą oznacza się, niezupełnie ściśle, nazwą „przesilenia gospodarczego". Gorzej jest już z djagnozą przyczyn tej choroby. Rozbieżność zdań jest wielka. A już przewidywania przyszłości są najbardziej rozbieżne. W związku z naturalną skłonnością do optymizmu lub pesymizmu, zabarwioną nieraz pierwiastkami uczuciowemi, które każą widzieć przyszłość taką, jaką chciałoby się widzieć, zostały poddane w wątpliwość podstawy ustroju gospodarczego. Coraz częściej słychać zdanie, że wkraczamy w nową epokę rozwoju, czy też, jak kto woli, upadku gospodarczego, że tak zw. przesilenie wstrząśnie gospodarczą organizacją społeczeństw. Jedni widzą nowe postaci ustroju, wyłaniające się już z obecnego chaosu, inni znowu wiedzą, że chaos będzie trwał długo, ale nie usiłują określić, co się z niego wyłoni.

Nietylko różne ideały społeczne zabarwiają, każdy na swój sposób, przewidywania przyszłości. Nikt nie jest w możności ogarnąć wszystkich faktów, wszystkich przejawów przesilenia. A między temi, którą zgromadził badacz, niepotrafi on utrzymać zupełnie objektywnej proporcji. Gdy się czyta różne prace i rozprawy, poświęcone obecnemu położeniu gospodarczemu, to zwykle z ich treści można rozpoznać narodowość autora, choćby się o tem skądinąd nie wiedziało. Inaczej pisze Anglik, Niemiec, inaczej Francuz lub Amerykanin. Każdy odczuwa silniej zjawiska, które go bezpośrednio otaczają, z któremi jest związany najróżnorodniejszemi nićmi. Ma często skłonność, by objawy kryzysu, zachodzące w jego ojczyźnie, traktować jako coś ważniejszego, niż fakty z życia innych krajów. Nieraz bierze *partem pro toto*, narodowe niedomagania uogólnia i nadaje im uniwersalną doniosłość. Niemiec np. nie pominie wersalskiego traktatu i sprawy odszkodowań, zaś Anglik będzie bolał nad wzrostem dążności protekcjonistycznych w świecie, uderzających boleśnie w stanowisko angielskiego przemysłu. Uczony, który pochodzi z kraju rolniczego, będzie uwypuklał mocno znaczenie kryzysu rolnego, czasem nawet je przeceniał, gdy znowu u Anglików można napotkać często na niedocenianie roli rolnictwa w światowem gospodarstwie. Francuz, którego kraj jest przez kryzys dotknięty stosunkowo słabiej, zachowuje zwykle miarę w ocenie skutków kryzysu, a natomiast przedstawiciele narodów, wstrząśniętych najgłębiej obecnemi przewrotami, przerzucają swój pesymizm na cały świat.

Kto chce być najbliżej rzeczywistości, musi jak najmniej ulegać suggestji cudzych poglądów, zabarwionych świadomie czy nieświadomie różnemi tendencjami. A te tendencje mogą się ukrywać nawet poza długiemi szeregami cyfr, z których każda z osobna jest prawdziwą! Każdy, kto bada zagadnienia gospodarczej teraźniejszości i przyszłości, ma prawo dążyć do tego, by ustrój gospodarczy kształtował się według jego pragnień i woli. Nie można od nikogo wymagać, by przejmował się w równym stopniu losami obcego narodu, jak i swego własnego. Ale właśnie dlatego, by wiedzieć, po której drodze iść należy, konieczne jest zachowanie zupełnej swobody w ocenie faktów, unikanie subjektywizmu w zapatrywaniu na to, co jest i przewidywaniu tego, co nastąpi. Bo

tylko wtedy polityka gospodarcza narodu będzie skuteczna, gdy będzie brała w rachubę realne możliwości a nie fantazje, gdy znane jej będą rzeczywiste siły, działające w świecie, tak przychylne, jak i niebezpieczne.

Polityka ta musi przewidywać, co nastąpi, względnie co może nastąpić. Wolno jest uczonemu ekonomiście, który nie chce wykroczyć poza granice niewątpliwych faktów, zakończyć swoją pracę nad obecnem położeniem gospodarczem świata samemi znakami zapytania. Nauka ma nawet obowiązek dać wyraz wszystkim możliwym wątpliwościom, ale gdy schodzi się z gruntu nauki czystej na grunt nauki „stosowanej“, to wtedy trzeba ryzykować pewne przepowiednie. Wtedy trzeba wskazać, co jest mniej, a co więcej prawdopodobnem, przewidywać, po jakiej drodze, według dostępnych danych, pójdzie rozwój gospodarstwa. Oczywiście, że można się pomylić. A wieszczbiarstwo, wyrażone nie w dwuznacznych, pytyjskich formułach, lecz w konkretnych przewidywaniach, ogłoszonych drukiem, jest bardzo zawodne. Pozostaje chyba pociecha, którą wyraził już Cicero: *neque enim tanta est infelicitas haruspicum, ut ne casu quidem umquam fiat, quod futurum esse illi dixerint.*

Nie stanowią zachęty do dalszych przewidywań zawody, które spotkały, zwłaszcza w powojennym okresie, najpoważniejszych nawet autorów. Od r. 1919 przeobrażenia gospodarcze idą w tak szybkiem tempie, że zjawiska, zaobserwowane w jednym roku, już w następnym zmieniają swoją postać, a tem samem tracą swój walor uogólnienia, na nich oparte. Bezpośrednio po zakończeniu wojny często przewidywano, że wyrównanie strat, przez wojnę zadanych, potrwa bardzo długo, że przez wiele lat będzie się dawał we znaki niedobór wytwórczości; a tymczasem dzisiaj tak wielkie są kłopoty z jej nadmiarem! Wielu pisarzy jeszcze kilka lat temu wróżyło, że kraje produkujące surowce i środki żywności są w szczęśliwem położeniu, gdyż popyt na nie będzie większy, niż na gotowe wyroby przemysłowe; a tymczasem jak wielki przewrót nastąpił w poglądach na rolnictwo!

A oto bardziej konkretny przykład. W r. 1926 jeden z najpoważniejszych ekonomistów Stanów Zjednoczonych Amer. Półn., T. N. Carver, wydał książkę pod tytułem: „*The Present Economic Revolution in the United States*“. Na czem zasadzała się ta rewolucja? Carver udowadniał, że zagadnienie społeczne w Stanach Zjednoczonych jest już rozwiązane. Robotnik amerykański ma ogromną zdolność kapitalizacyjną, staje się sam kapitalistą, współwłaścicielem przedsiębiorstw, i korzysta w pełni z dobrodziejstw cywilizacji, polepszając coraz bardziej swój dobrobyt. Autor kończy swoje wywody w ten sposób: „Autor spodziewa się, że w tonie jego książki nie ma nawet cienia pesymizmu. Ten kraj (to zn. Stany Zjedn.) jest świetny i świetne są te czasy, a one stają się jeszcze bardziej świetnemi. Żyć w tych czasach, w tym kraju, i przypomnieć sobie lata od 1870 do 1920, znaczy to obudzić się z pod zmory“. A dzisiaj niejeden Amerykanin, może i sam Th. N. Carver — o ileby mu na to pozwoliła jego miłość autorska — dałby wiele, by znaleźć się z powrotem w tych czasach od r. 1870 do 1920.

Mimo tych ostrzegających przykładów, można i trzeba, gdy się analizuje przemiany i przewroty, które zachodzą obecnie w świecie, sięgać myślą w przyszłość. Kryje ona w sobie wiele niespodzianek. Jednakże dla kogoś, kto zdobył się na trud poznania obecnego stanu rzeczy i kto wie, jakie wydarzenia złożyły się na ten stan, nie będzie tajnem, jakie istnieją realne możliwości na przyszłość. Jest najpierw możliwem, by na podstawie znajomości sił społecznych i gospodarczych, czynnych w obecnej dobie, zwęzić pole przypuszczeń, wykluczyć, z dużą dozą prawdopodobieństwa, niejedną przepowiednię, która nie znajduje podstawy w faktach.

W życiu gospodarczem zachodzą nieraz wielkie przewroty, nawet rewolucje. Ale tylko oczom laika przedstawiają się one jako coś całkiem nieoczekiwanego. Bo każda trwała przemiana, zanim dla wszystkich stanie się widoczną, przygotowuje się na długo już przedtem. Nowe formy ustroju gospodarczego wykluwają się stopniowo, w ciągłej walce z dawnemi. Zawodzą pomysły narzucenia zewnętrzną siłą nowego ustroju, o ile są one w sprzeczności z istniejącemi warunkami ekonomicznemi i społecznemi. Nie rządzą rozwojem ekonomicznym jakieś prawa niezmienne, które umysł ludzki może ogarnąć i wykryć. Ale rozwój gospodarczy, to ciągły proces historyczny, w którym drobne napozór, a liczne zmiany wywołują pozornie nagłe i dla wielu nieoczekiwane przewroty. W tem znaczeniu miał rację Alfred Marshall, gdy swoje wielkie dzieło zaopatrzył w motto: *natura non agit saltatim.*

Niewątpliwie mogą zajść przewroty, które nie dadzą się przewidzieć. Wyobraźmy sobie, że doświadczenia, prowadzone już od dłuższego czasu nad zużytkowaniem energji słonecznej, powiodą się w tem znaczeniu, że ta energja stanie się tańszą od energji, ukrytej w węglu lub w sile wodnej. Wtedy kraje tropikalne mogą się stać główną siedzibą przemysłu. Na Saharze powstaną wielkie jego ogniska, a północna półkula znajdzie się w trudnem bardzo położeniu. Jednakże przewroty techniczne nie dochodzą nigdy do skutku, jeżeli nie sprzyjają im inne warunki ekonomiczne i społeczne. Wielkie wynalazki XVIII w. dlatego mogły wywołać „rewolucję przemysłową“, że już wtedy istniały formy ustroju kapitalistycznego, że dzięki nagromadzeniu kapitału i doświadczenia handlowego maszyna parowa znalazła zużytkowanie w przemyśle, a nie służyła do zabawy lub wywoływania cudów w świątyniach, jak w starożytności.

Z drugiej jednak strony, gdyby warunki czysto materjalne, w szczególności technika, określały kierunek wytwórczości i ewolucję ustroju, przewidywanie byłoby stosunkowo łatwe. Wtedy wiadomemby było, kiedy formy organizacji społecznej muszą się zmienić, ustąpić miejsca nowej „nadbudowie“ prawno-społecznej. Wszakże ten prymitywny materjalizm ekonomiczny jest już dzisiaj zarzucony. Rozwój społeczno-gospodarczy pojmujemy jako wzajemne oddziaływanie różnych pierwiastków dziejowych, a nie jako jednostronną zależność całego życia od materjalnego podłoża. Dokładna i sumienna obserwacja zjawisk nie pozwala na lekceważenie czynników duchowych, jako czegoś wtórnego, dodatkowego. Warunki naturalne, technika produkcyjna, to wszystko ma pierwszorzędne znaczenie, ale nie rozstrzyga ostatecznie o rozwoju gospodarczym narodu lub o jego gospodarczym upadku. W granicach, zakreślonych przez te warunki, gospodarstwo narodowe może pójść po tej lub innej drodze. Ma przed sobą różne możliwości;

o wyborze między niemi rozstrzygają siły duchowe, rozstrzyga polityka w najszerszem wyrazu znaczeniu.

Przewiduje się np. upadek gospodarczy tego lub innego imperjum czy narodu. Niewątpliwie wtedy, gdy jakaś potęga, dzięki szeregowi sprzyjających okoliczności, zajęła dominujące stanowisko w świecie, gdy wyzyskała niższość ekonomiczną swoich współzawodników, nadchodzi czas, w którym ona musi się cofnąć, zejść ze swojej uprzywilejowanej pozycji. Doświadczenie dziejowe uczy, że panowanie nad światem, także i w dziedzinie ekonomicznej, nie może trwać przez długie wieki. Nietrudno jest przewidzieć, że zmierzch nadejdzie po nadzwyczajnym rozkwicie. Wszakże nie łatwo jest wywróżyć, w jakiem tempie i w jakiej postaci będzie się odbywał ten proces schyłkowy; czy przybierze on postać katastrofy, czy powolnego przystosowywania się do zmienionych warunków. O tem już rozstrzygną nie tyle zewnętrzne okoliczności i materjalne warunki, ile duchowe siły narodu. Jego energja, gotowość do walki z przeciwnościami losu, jego zdolność przystosowania się do zmienionego położenia. Te czynniki psychiczne nie dadzą się zgóry określić i wymierzyć. Przedstawiają one przytem pierwiastek, ulegający zmianom, gdyż zbiorowa wola może się obudzić, albo też naodwrót, uledz rozkładowi.

Dlatego też nie można patrzeć na przebieg wydarzeń z jakimś fatalizmem, widzieć coś takiego, co nieuchronnie musi nastąpić. Narody w swej walce o byt nie mogą dokonywać cudów, tworzyć nowych form życia społeczno-gospodarczego, o jakich tylko spodoba im się zamarzyć. Naiwnym był pogląd, tak rozpowszechniony w XIX w, o konieczności ciągłego, nieustannego postępu; ale równie skrajną jest psychologja bezwzględnego upadku ekonomicznego, uczucie beznadziejności i bezsiły. Stanie się ono wtedy tylko usprawiedliwionem, gdy w społeczeństwie stępieje wola wydobycia się z trudności. A wtedy właśnie ten nastrój, który może być dziełem świadomej działalności, stanie się jedną z przyczyn ekonomicznego upadku.

Dziejowych procesów gospodarczych nie należy ujmować w zbyt proste formuły. Pisze się obecnie wiele o „upadku kapitalizmu". Brzmi to napozór bardzo kategorycznie. Ale przy bliższem wejrzeniu w tę formułę okaże się, że niema ona bardzo określonej treści, że nie jest całkiem jasnem, co ma upadać. Co ważniejsza, znajomość różnych ustrojów gospodarczych i zmian, które w nich zachodzą, wskazuje na to, że nigdy nowy ustrój nie wypiera dawnego bez śladu, że równocześnie różne ustroje z sobą współzawodniczą i współżyją. Przecież jeszcze kapitalizm nie ogarnął całego świata. Przecież Polska np. jest jeszcze krajem półkapitalistycznym. Jest bardzo możliwem, że przez długie lata w różnych krajach, w różnych częściach świata będą istniały ustroje, oparte na zupełnie sprzecznych podstawach. Może się zdarzyć, że nawet ten sam kraj będzie się przerzucał z jednego ustroju do drugiego, by potem do dawnego wrócić. Oczywiście, że żaden naród nie zdoła osiągnąć pełnej izolacji i odgrodzić się od zewnętrznych wpływów, od jego woli niezależnych. Ale w pewnych granicach będzie miał i ma swobodę wyboru takiego lub innego ustroju.

Płynie z tego wniosek, że jeżeli chcemy przewidywać przyszłość gospodarczą, jeżeli chcemy zdać sobie sprawę z dynamiki przemian i przewrotów, które się dzieją w świecie i z ich potencjalnych możliwości, nie możemy ograniczyć się do analizy czysto materjalnych zjawisk, do ugrupowania czysto gospodarczych faktów. One nie powiedzą nam tego wszystkiego, czego chcemy i możemy się dowiedzieć. Równolegle ze zbadaniem gospodarczej strony życia, trzeba wciągnąć w rachubę pozagospodarcze pierwiastki: ideały życiowe różnych narodów i warstw społecznych, ich stan polityczny, ich religję i moralność, stosunek ich do c a ł e g o życia. By przewidzieć, który naród utrzyma się we współzawodnictwie, trzeba poznać jego duchowe wartości, a także i inne pozagospodarcze pierwiastki siły (np. jego rozrodczość). O tem, czy utrzyma się ten lub inny system rozdziału bogactwa, rozstrzygną zdolności organizacyjne i inne walory jego przedstawicieli. Wszystko to da się zanalizować. A zarazem wartości duchowe nie podlegają raptownym zmianom, dzięki czemu możliwem jest przewidywanie przyszłości.

Gdyby ktoś chciał wyznaczyć wyraźną i prostą drogę, którą pójdzie przyszłość ekonomiczna świata, to byłby tylko ekonomicznym wróżbiarzem. Ale gdyby się, wobec ogromnego chaosu zjawisk, wielkiej ich zmienności, opuściło bezradnie ręce i powiedziało: *ignoramus*, to byłaby to ostrożność zbyt daleko posunięta. Nie stoimy przed jedną tylko drogą, ani też na bezdrożu, z którego możemy się udać we wszystkie strony świata, lecz raczej u dróg rozstajnych. Na podstawie naukowych badań możemy te drogi oznaczyć, określić, dokąd one wiodą. Niepodobna jest zgóry przewidzieć, którą z nich się pójdzie. Narody mają wybór swobodny, żadna konieczność nie wyznacza im, gdzie się udać mają. Zagadnienie wyboru usuwa się z pod przewidywań. Tembardziej, że nie cały świat musi iść w jednym kierunku.

ROMAN RYBARSKI

FRANCJA I ROSJA

DNIA 21-go ub. m. podano w Paryżu w sposób urzędowy wiadomości o rokowaniach francusko-sowieckich w sprawie układu o wzajemne niezaczepianie się. Wiadomości te brzmią pomyślnie. Wynika z nich, że w rokowaniach uwzględniono konieczność równoczesnego takiegoż układu między Sowietami a ich sąsiadami bezpośrednimi na zachodzie, z Polską na czele.

Znaczy to, że sprawa układu o wzajemnem niezaczepianiu się między Francją i Sowietami, a także Polską i Sowietami, stała się w tej chwili, lub nawet ogólniej w tym okresie, żywą czy ożywioną nie na krótkiej linji Warszawa - Moskwa, lecz na dłuższej Paryż - Moskwa.

Z wiadomości, które, padając z wszystkich trzech stolic, nagromadziły się w doniesieniach dziennikarskich i objaśnieniach urzędowych od ujawienia rokowań 19-go sierpnia b. r. do oświadczeń berlińskich p. Litwinowa i paryskich p. Zaleskiego z 28-go sierpnia b. r., można sobie odtworzyć ogólny obraz początków tej sprawy i jej przebiegu w ostatnim roku. Sowiety zwróciły się do Polski

o zawarcie układu o niezaczepianiu się wzajemnem już w sierpniu 1926, ale rokowania te od pierwszego okresu 1926-27 zamarły, a również, jak zaznaczono w urzędowem doniesieniu francuskiem dn. 28-go sierpnia b. r., zwracały się Sowiety także do Francji trzykrotnie w ostatnich latach o zawarcie takiego układu, ale bez następstw. Dopiero na tle toczących się w r. b. rokowań handlowych między Francją i Sowietami (o usunięcie istniejących od końca r. 1930 obustronnych zarządzeń wyjątkowych przeciw przywozowi towarów, narazie z takim wynikiem, że zakazy te cofnięto, jak zawiadomił francuski minister handlu p. Louis Rollin w oświadczeniach z 25-go lipca b. r., a dalsze rokowania mające ożywić wymianę towarów i dać Sowiotom, które o to oczywiście się starają, towarowe i pieniężne kredyty Francji, są w toku) zjawiła się też polityczna strona sprawy. I nic dziwnego, bo dla wymiany towarów, a szczególnie dla udzielania kredytów, zapewnienie czy wzmocnienie widoków pokoju jest wcale istotne. Dość, że w kwietniu 1931, jak wynika z urzędowych objaśnień francuskich z 26-go sierpnia b. r., sowieckich z 27-go sierpnia b. r., ponownych francuskich z 28-go sierpnia b. r., rząd francuski, dopiero w związku z rokowaniami handlowemi, podjął owe poprzednie zwracania się Sowietów o układ polityczny i rozpoczęły się rozmowy, prowadzone, jak wskazano w doniesieniu francuskiem z 20-go sierpnia b. r., przez p. Philippe'a Berthelot, jeneralnego sekretarza ministerstwa spr. zagr., z p. Dowgalewskim, ambasadorem sowieckim w Paryżu, w sposób wstępny, tak że na zakończenie przewidywano jeszcze szereg miesięcy.

Taki jest najogólniejszy zarys sprawy rokowań między Francją i Sowietami, na które w obecnym stanie rzeczy w pierwszym rzędzie zwrócić trzeba uwagę, gdyż tu jest w tej chwili dźwignia, która mogłaby w danym razie ruszyć całość.

A jakież są najbardziej uderzające znamiona i jakie widoki tych rokowań?

Pisma francuskie, szczególnie na prawicy, natychmiast po pojawieniu się 19-go i 20-go sierpnia b. r. pierwszych amerykańskich doniesień o toczących się rokowaniach politycznych francusko-sowieckich, uderzyły w strunę polską, jak np. p. Pierre Bernus („Le Journal des Débats" z 21-go na 22-gi sierpnia b. r. nr. 232):

— Rzecz jest zatem niesporna: rząd francuski rokuje z Sowietami w sprawie t. zw. układu o nienapadaniu... Celem Sowietów jest przeszkodzenie nam w działaniu w chwili, gdy, przybierając pozory państwa napadniętego, rzuciłyby się, w porozumieniu z Niemcami, na Polskę lub innego ze swych sąsiadów... Pragniemy wiedzieć, czy Polska, która jest naszą sojuszniczką i którą te rokowania obchodzą w pierwszym rzędzie, była powiadomiona i pytana o radę...

Gdy na dobitkę urzędowa ajencja sowiecka TASS. dnia 23-go sierpnia b. r. ogłosiła, że między Moskwą i Warszawą niema rokowań, a rokowania między Paryżem i Moskwą nie dotyczą zupełnie innych państw, t. j. Polski, pytania w pismach francuskich stały się tem natarczywsze. Powoli z wymiany urzędowych objaśnień od 24-go do 28-go sierpnia b. r. okazało się, że rząd francuski brał pod uwagę to, że od r. 1926 istniała taka sprawa między Polską i Sowietami w rokowaniach, coprawda zamarłych. Dowiedziano się również, że dnia 23-go sierpnia b. r. poseł polski w Moskwie p. Patek poruszył jeszcze tę sprawę, oczywiście już w związku z rokowaniami w Paryżu i tamtejszemi pytaniami o Polskę. I tak trochę się dopytywanie w Paryżu o stan rzeczy od strony Polski uspokoiło i wyjaśniło.

Ostatecznie za wyraz ówczesny poglądów urzędowych we Francji można uważać to, co oświadczał w owych dniach „Le Temps" na naczelnem miejscu, skąd odzywa się stale głos kierowniczych kół francuskiej polityki zagranicznej.

Mianowicie dnia 27.VIII ub. r. (nr. 25570):

— Co się tyczy układu francusko-rosyjskiego o nienapadaniu, jest rzeczą oczywistą, że w każdym razie, jeśli będzie on kiedyś zawarty równolegle z gospodarczem ułożeniem stosunków, będzie on musiał pozostawać w bezwzględnej zgodzie ze zobowiązaniami naszemi wobec Ligi Narodów i z układami, które nas wiążą z innemi państwami, tak że nasze stanowisko wobec Polski i wobec Rumunji nie może tem być naruszone.

Następnie zaś dnia 29.VIII ub. r. (nr. 25572):

— Francja nigdy nie brała pod uwagę tych rokowań inaczej jak w ramach zarówno obowiązków, wynikających dla niej z paktu Ligi Narodów, jakoteż umów osobnych, które ją wiążą z Polską i z Rumunją. Gdy się w pismach niemieckich lub rosyjskich podsuwa twierdzenie, jakoby w toczących się rokowaniach nie było mowy o naszem szczególnem stanowisku względem Polski, jest to cynicznem graniem na słowach. I na cóż zda się chęć takiego fałszowania rzeczywistości zdarzeń, skoro trzeba będzie mimo wszystko pogodzić się z niemi we właściwej chwili i uznać ich prawdziwe znaczenie? Wszelkie oświadczenia p. Litwinowa nie przeszkodzą temu, że układ o niezaczepianiu się nie będzie zawarty między Francją i Zw. Sow., oczywiście równolegle z układem gospodarczym, zabezpieczającym nasze prawa w zakresie długów i nasze interesy w zakresie wymiany handlowej, inaczej niż tak, że także Polska i Rumunja otrzymają rękojmię, czyto w układzie bezpośrednim czyto w układzie w trójkę, przeciw wszelkiej groźbie napadu ze strony Rosji sowieckiej. Bez tego nie będzie między Moskwą i Paryżem paktu żadnego rodzaju.

Można zatem stwierdzić, że ta strona sprawy, dla nas tak istotna, a także dla całości jej doniosła, bo wszelkie porozumienie Sowietów z Francją bez porozumienia z sojusznikami Francji byłoby czczem złudzeniem, stanęła we Francji zupełnie jasno.

Pragnęłoby się jednak uzyskać jakieś wejrzenie w ogólny wygląd, nastrój, oraz widoki rokowań p. Berthelot'a z p. Dowgalewskim w Paryżu.

Nie bez pożytku, w tym względzie, przeczyta się uwagi, ogłoszone przez dyplomatycznego współpracownika „Daily Telegraph" londyńskiego dnia 28-go sierpnia b. r., jedyne tego pokroju i zabarwienia, jakie wogóle się gdziekolwiek ukazały, a niewątpliwie przedstawiające w swej osnowie to, co o tej sprawie wiadomo w Foreign Office brytyjskiem:

— Mam powody do mniemania, że rokowania francusko sowieckie w sprawie zawarcia paktu o nieagresji doszły obecnie do bardzo posuniętego stanu. W istocie szkic układu można uważać za doprowadzony do końca, chociażby on jeszcze nie był parafowany (t. j. tymczasowo podpisany pierwszemi literami: initialled). Bieg rokowań był utrzymany w wielkiej tajemnicy, wbrew zwyczajom Quai d'Orsay (unusually so for the Quai d'Orsay), z powodu wzrastających rozmiarów sprzeciwu wśród grup prawicy i środka we Francji. Pierwotnymi wnioskodawcami takiego paktu byli p. Herbette, ambasador francuski w Moskwie, oraz senator de Monzie wraz ze swymi przyjaciółmi. Lecz sprawa została poważnie podjęta przez rząd francuski dopiero dzięki poparciu p. François Poncet, doniedawna podsekretarza stanu w prezydjum rady ministrów u boku p. Laval'a, a obecnie ambasadora francuskiego w Rzeszy. Poglądy p. Poncet'a były podzielane przez wpływowe finansowe i przemysłowe koła francuskie i przez pewien odłam Quai d'Orsay. P. Briand jest podobno za paktem, gdyż jednym z jego skutków może być wciągnięcie Rosji sowieckiej w krąg wpływów państw zachodnich i Ligi pod przewodem Francji. P. Philippe'owi Berthelot

jeneralnemu sekretarzowi Quai d'Orsay, który tam odzyskał swe dawne znaczenie, a który tak daleko doprowadził te rokowania, przypisuje się bardziej trzeźwe zamysły. Jest to mianowicie zerwanie niemiecko-sowieckiego porozumienia, pierwotnie zawartego w Rapallo, dzięki pieniężnej potędze Francji w chwili obecnej, z widokami odbudowania w końcu (with an eye to the ultimate reconstitution) dawnego francusko-rosyjskiego sojuszu. Przypuszcza on niewątpliwie, że Moskwa, będąc w naglącej potrzebie kredytów, porzuci zbankrutowane Niemcy dla zamożnej Francji.

Obraz ten, mimo nieuchronnych w takim skrócie uproszczeń, pogrubień, i przejaskrawień, ma w sobie jednak niewątpliwie pierwiastki, nie z powietrza pochwycone, lecz czerpane z bliskich spostrzeżeń.

Z pożytkiem również można, obok tego angielskiego sztychu wnętrza Quai d'Qrsay, powiesić sobie przed oczyma, jako pendant, francuską rycinę p. Emila Bure, dobrego bywalca tego wnętrza, w paryskim „L'Ordre" z 4-go września ub. r.:

— Philippe Berthelot, jeneralny sekretarz ministerstwa spraw zagranicznych, ma zmysł dyplomacji klasycznej i, gdy Louis Rollin mozolił się, zresztą bardzo użytecznie, nad wyrównaniem bilansu handlowego francusko-sowieckiego, zadowolił się on znowuż ze swej strony, by nieco rozpogodzić zimne rozprawy gospodarcze, wymianą z Dowgalewskim niektórych ulotnych słówek bez większej doniosłości politycznej, którym jednak musiało nie brakować pewnej wyrazistości... Póki zadanie rokowań z Dowgalewskim pozostawione będzie Philippe'owi Berthelot, będę wolny od niepokoju. On bowiem nie miał nigdy złudzeń co do usposobienia Sowietów. Już Cziczerinowi mówił: dłużnika gubi podobno, jak powiada jedna z osobistości Tristan'a Bernard'a, zamiar zapłacenia długu, ale wam zguba z powodu takiego zamiaru nie grozi.. Gdyby nawet Polska i Rumunja podpisały równocześnie z Francją układ o nieagresji ze Z. S. S. R., bezpieczeństwo ich nie byłoby zapewnione. Nieubłaganemu ich wrogowi powiodłoby się jedynie uśpić ich czujność. Niema przeto możliwości starania się o coś poważnego od strony Moskwy...

Jednem słowem, we Francji, w szczególności na prawicy, odzywa się nieufność w jakąkolwiek wogóle możliwość zawarcia układu z Sowietami. Głosy w tym duchu nie milkną w dalszym ciągu. I niema zaskoczeń w załatwianiu sprawy.

Być może, iż w związku z temi nastrojami dyplomatyczny współpracownik „Daily Telegraph'u", w niespełna miesiąc po swych pierwszych uwagach, pisze (18-go września b. r.):

— Okazuje się obecnie, że niewielu, a nawet bardzo niewielu Francuzów (p. Berthelot nigdy nie był tak prostoduszny), którzy wierzyli w możliwość poważnych i uczciwych rokowań w Moskwą, doznało smutnych rozczarowań wskutek jej dwulicowego zachowywania ich. Przedstawiciel Sowietów w Paryżu migotał przed oczyma Francji widokami odżycia dawnego porozumienia między Francją i Rosją, a zatem urwania groźnego porozumienia między Z. S. S. R. a Rzeszą niemiecką. Ale zwierzchnik p. Dowgalewskiego, p. Litwinow otwarcie popierał w Genewie przeciw Francji niemieckie stanowisko w sprawie rozbrojenia. Co więcej, w obliczu żądania, by zamierzony układ zawierał poszanowanie granic Polski, sprzymierzonej z Francją, przedstawiciel Moskwy wyznał, że nie jest w możności zgodzenia się na jakiekolwiek postanowienie w tym duchu.

Zbierając razem wszystkie te oświetlenia, można powiedzieć, że wprawdzie odgłosy około rokowań świadczą o dość silnej niewierze we Francji w możność dojścia do pomyślnych i rzetelnych wyników, ale samo prowadzenie rokowań oraz doprowadzenie ich do uchwytnego szkicu, z uwzględnieniem sąsiadów Rosji, jest już wskazówką, że sprawę uznaje się za godną próby i trudu.

Rzetelny układ, wzmacniający pokój, między Francją i Sowietami byłby zdarzeniem pomyślnem. Rzetelny zaś, to znaczy taki, który zapewniałby pokój w taki sam sposób równocześnie między Francją i Sowietami oraz między Sowietami i sąsiadującymi z niemi sojusznikami Francji. Rzetelnym bowiem nie byłby układ, który zażegnywałby niebezpieczeństwo bezpośredniego wybuchu wojny między Francją i Sowietami, wogóle mało prawdopodobnego, ale przez pozostawienie możności wybuchu wojny między Sowietami a Polską i Rumunją pośrednio wciągałby także sprzymierzoną z niemi Francją.

P. Litwinow, w swych oświadczeniach berlińskich z 28-go sierpnia b. r., pragnął ominąć tę trudność zaznaczeniem, że sojusz Francji z Polską nakłada na Francję obowiązki przymierza tylko w wypadku, gdy Polska byłaby napadnięta, a ponieważ, mówił, Sowiety na Polskę nie napadną, niema trudności. W takiem ujęciu tkwi właśnie sęk sprawy: cała gra polegałaby na tem, by w razie zatargu twierdzić, że to przecież Polska jest napastniczką a nie napadniętą, celem unieruchomienia Francji. Na szczęście dodał p. Litwinow, że zawarcie równoczesne jakiegoś układu między Sowietami i Polską usunie wszelkie trudności dla Francji, a ten dodatek zmienia korzystnie postać rzeczy, bo właśnie w tem rzecz, aby te układy się tak uzupełniały.

Porozumienie Francji z Rosją nie straszy Polski. Trzeźwo myślący politycznie ludzie w Polsce nigdy nie sądzili, że przymierze Francji z Polską ma zastąpić dawne przymierze Francji z Rosją, oraz nie żywili w tym względzie zazdrości. W powojennych stosunkach właśnie pokojowe porozumienie między Francją, Polską i Rosją byłoby najkorzystniejsze i dla tych trzech państw i dla Europy.

Trudność tkwi w stosunkach Rosji Sowieckiej z Niemcami, które są ważnym składnikiem politycznego obrazu Europy powojennej. Porozumienie sowiecko-niemieckie, które pokojem w Brześciu w r. 1918 położyło kres wojnie rosyjsko-niemieckiej lat 1914—17, utrwalone zostało układem w Rapallo w r. 1922, odnowionym w Berlinie w r. 1926 i w r. 1931, i mieści w sobie znaczne współdziałania gospodarcze, a kryje w sobie niemniej znaczne przygotowania zbrojne. Zerwanie tego wkrótce już 15-letniego porozumienia bolszewicko-niemieckiego byłoby wielką przemianą stosunków. Niemcy skłonniby byli pogodzić się z układem Francji z Sowietami, ale żadną miarą Sowietów z Polską, co głosy niemieckie w dniach po 19-tym i 20-tym sierpnia b. r., gdy pojawiły się wiadomości o rokowaniach paryskich, równie niedwuznacznie stwierdzały, jak obecnie rozmowa p. Emila Ludwiga z p. Stalinem, ogłoszona 25-go grudnia ub. r. Ponieważ zaś zawarcie układów złudnych, któreby Sowietom, mimo podpisania pokojowego porozumienia z Francją lub nawet i z Polską, zostawiało furtkę do działania przeciw Polsce wespół z Niemcami, nie wchodzi w rachubę w obecnem trzeźwem prowadzeniu rokowań, dotychczasowe porozumienie Niemiec z Sowietami straciłoby całe swe znaczenie wojenno-odwetowe.

Nowe dzieło byłoby dziełem pokojowem, bardzo pomyślnem, ale możliwem tylko na tej podstawie, że Sowiety, które ze swej strony do wojny zapewne się nie kwapią, obliczą sobie, że porozumienie z Niemcami, mające wcześniej czy później wciągnąć Rosję w wojenne z niemi współdziałanie, mniej jest warte, niż ustalenie pokoju i gospodar-

czych stosunków spokojnych z Francją i równocześnie także z Polską i Rumunją jako bezpośrednimi sąsiadami, związanymi z Francją w dążeniach do utrwalenia pokoju.

Od 21-go grudnia 1931 znany jest szkic układu francusko-sowieckiego, wraz z potwierdzeniem, że Francja wprowadzi go w życie tylko równocześnie z układem takim między Sowietami a Polską i Rumunją. Nieufne głosy pism, obecnie znowu podnoszące się po ogłoszeniu tego szkicu, świadczą, że we Francji będzie miał widoki poparcia jedynie układ, dający istotne rękojmie, a nie pozory tylko. Powinno się to przyczynić do zawarcia układów dobrze zbudowanych, które od strony Rosji zapewniałyby pokój przynajmniej w takiej mierze, jak pakt Ligi między państwami, które do niej należą.

STANISŁAW STROŃSKI

O TRZECH BOY'ACH I JEDNYM ŻELEŃSKIM

JEST ich naprawdę trzech: pierwszy to przyjemny, choć pieprzny, wesołek w „Słówkach", drugi—zasłużony tłumacz i komentator klasyków literatury francuskiej oraz świetny krytyk teatralny i literacki, a trzeci, to publicysta wojujący po apostolsku o niemoralność w moralności. Dowcipne piosenki kabaretowe w stylu paryskiego „*Chat noir*" wyrobiły Boy'owi popularność i posmak sensacji. Pracowite, a częstokroć wyborne przekłady, efektowne recenzje teatralne i studja krytyczne z literatury polskiej, pisane z talentem i brawurą, zapewniły mu poczytność i dały pewien autorytet. Wreszcie faza trzecia, publicystyczna — to obcinanie kuponów od popularności i wpływu, który się zdobyło dawniejszą, inteligentną robotą. Ale tak bywa na starość bardzo często i tak stało się z Boy'em. W „Słówkach" był zabawny, w przekładach pożyteczny, w recenzjach i studjach interesujący, a w publicystyce jest nudny, bo zaczyna być patetyczny.

Cały zastęp tomów Boy'a przesuwa się przed nami jak rewja kabaretowa, w której jest parę numerów pierwszorzędnych, kilka numerów udatnych, lecz ostatnie—to już wata, bo kupleciście zabrakło inwencji i kwalifikacyj, które zastępuje pozą moralizatorską. Z szopki „Zielonego balonika" pamięta się całe partje, pełne pikantnej ironji; niejeden czytelnik umie na pamięć połowę „Słówek"; szerokie koła inteligencji z zadowoleniem smakują dzieła Molière'a, Diderota, Balzaca, Stendhala i t. d. w Bibljotece Boy'a. Studja popularyzatorskie „Mózg i płeć" oraz monografja o Moljerze pozwalają nadać autorowi tytuł Feldmana literatury francuskiej, jak to czynił jeden z najmłodszych krytyków. „Flirt z Melpomeną", choć trochę rozwlekły (aż dziewięć tomów), jest pomysłowy. W „Brewerjach" autor zaczyna się sam reklamować i kanonizować, winduje się na piedestał, a jakkolwiek robi to z nonszalancką kokieterją, nie zyskuje aprobaty czytelnika. W „Pani Hańskiej" i w niektórych szkicach z „Ludzi żywych" (Żmichowska!) erotomanja Boy'a, widoczna od pierwszych pociągnięć jego pióra, wzrasta tam silniej, im bardziej autor się starzeje. Wszystkie niemal książki późniejsze: „Dziewice konsystorskie", „Piekło kobiet", „Jak skończyć z piekłem kobiet?", poniekąd „Pijane dziecko we mgle", „Bronzownicy", a zwłaszcza „Zmysły, zmysły", przesiąknięte są monotonnym panseksualizmem autora. I to jest cały, jednolity Żeleński w trzech Boy'ach.

Manję Żeleńskiego możnaby wytrzymać, gdyby nie to, iż w ostatnich książkach pisarza zespoliła się ona z emfatyczną propagandą uniemoralniającą, lecz prowadzoną tonem kaznodziejskim, namaszczonym, co wszystko razem wywołuje wrażenie komizmu. Dopóki Boy żartował i kpił, śmieliśmy się z nim razem; dziś gdy grzmi i piorunuje na życie małżeńskie, nierozerwalność ślubów i listy biskupów, śmiejemy się, ale z niego. Biskupi polscy ogłosili list, potępiający projekt ustawy małżeńskiej, wygotowany niefortunnie przez zdezorjentowaną komisję kodyfikacyjną. Boy, dotknięty tem do żywego, umieścił we „Wiadomościach literackich" (Nr 49) artykulik, w którym twierdzi, iż episkopat, broniąc nierozerwalności małżeństwa, popiera „szalbierstwo, świętokradztwo i symonję". Czyż to nie wielkie słowa, czy to nie patos nawspak? Uroczysta obrona zasad, które powszechność uważa za dobre, może być budująca, ale wyrywanie sobie włosów z głowy na myśl, że ktoś chce zwalczać rozwody i małżeństwa na próbę, to istne kaznodziejstwo z operetki. Gdyby Boy używał tego *trick*'u w celach humorystycznych, byłby może zyskał poklask, ale rozpaczanie na serjo nad tem, że Kościół i społeczeństwo zwalcza niemądre pomysłu reformistyczne, może być tylko śmieszne, a kompromitujące dla człowieka, który ma zresztą mocne poczucie humoru.

Argumenty, przytaczane przez Boy'a na poparcie tezy o konieczności rozwodów, regulacji urodzeń etc., są tandetne i plotkarskie. Pewna pani powiedziała mu to, a pewna panna owo. Jakaś biedaczka ze Śląska miała 15 dzieci, a takich kobiet jest miljony! Okropne! Ktoś opowiadał komuś, że jego kuzyn przekupił konsystorz i dostał rozwód, a co najważniejsze: biskupi anglikańscy oświadczyli się za regulacją urodzeń. Tych anglikanów wynosi Boy pod niebiosy, choć są biskupami, naszych zaś biskupów, jak wogóle kler katolicki, traktuje *à la* Voltaire. Niestety, spóźnił się „mędrzec", tkwiący duszą w XVIII w., o stokilkadziesiąt lat. Czasby już zrozumieć, iż dziś, w epoce potężnej akcji narodowej i katolickiej, reakcja wolnomyślicielska jest anachronizmem, trąci myszką, bo jest niewspółczesna. Poważne ustawodawstwo włoskie i francuskie, opinję 90% lekarzy niemieckich, nowoczesne teorje populacyjne i t. d., wszystko, co popiera normalny rozwój narodów, stara się Boy zlekceważyć i osłabić, za to wyłapuje wszelkie deklaracje, choćby podrzędnych figur i kongresów, propagujących zniweczenie tradycyjnych form cywilizacji zachodniej. Jak Boy naciąga pewne fakty do swej doktryny, widać np. z twierdzenia, że we Francji „system dwojga dzieci stworzył zamożność kraju" („Zmysły, zmysły" s. 159). Więc to nie bogactwo ziemi, wspaniały klimat, oszczędność, pracowitość i zdolności obywateli, ogromne wybrzeże morskie, wielkie imperjum kolonjalne stworzyły zamożność francuską? Naogół Boy nie odróżnia znaczenia faktów wyjątkowych i powszechnych. Wybrawszy jakiś dogodny przykład, generalizuje go z bujną fantazją i od ręki kropi teoryjkę, nie

dbając o to, iż tysiące dokumentów przeczy jej zasadniczo. Taką swawolną metodą rozumowania można bez trudu udowodnić każdy nonsens. Nikt nie twierdzi, iż sytuacja obecna jest idealna i zadowala wszystkich, o czem Boy marzy, ale to jest wogóle nie do osiągnięcia. Bolączek jest wiele i głębokich, to też trzeba je powoli i częściowo usuwać, jednakże sposoby, doradzane przez Boy'a, są naiwne i symplistyczne. O sprawie tak intymnej i tajemniczej, jak rozrost narodu, nie zadecyduje racjonalistyczna doktryna regulacji urodzeń, lecz instynkty ludzkie, które chodzą własnemi drogami i nie pytają o radę. Kodeks karny niewiele tu pomoże, ale nie powinien szkodzić i dlatego głównie należy wprowadzić paragrafy, karzące więzieniem za spędzanie płodu. Zapewne, nawet mimo surowych postanowień kodeksu, zawsze znajdzie się pewna liczba osób wpływowych, które je obejdą, ale czyż stad wynika obowiązek tolerancji powszechnej? Przecież w takim razie powinnoby się zwalczać także kary za oszustwo, kradzież, morderstwo i t. p., gdyż zawsze znajdują się złodzieje, oszuści czy mordercy na wysokich stanowiskach, którzy wymkną się sprawiedliwości.

Boy walczy w imię płytko pojętego dobra jednostki, bagatelizując całkowicie interes zbiorowości. W dzisiejszych czasach nacjonalizmu i konstruktywizmu państwowego ten gatunek humanitarności trąci donkiszoterją, tylko nawywrót. Żeleński sam sobie zdaje potrochu sprawę z tego, że ani prawica, ani lewica, wogóle nikt nie pali się do jego zapędów reformistycznych. Właściwie zdołał sobie skaptować jedynie... komisję kodyfikacyjną, co dowodzi, jakim przeżytkiem jest zgromadzenie tych szanownych profesorów ze starej generacji, nie rozumiejących ani swego zadania, ani dążeń młodszych pokoleń.

Argumentacja Boy'a, chociaż błaha i krucha, nie jest rzeczą najgorszą; o wiele przykrzejsze jest to, że Boy, wesoły niegdyś człowiek, zaczyna się martwić i melancholizować. W artykule „Walka o reformę seksualną" (w zbiorze p. t. „Zmysły, zmysły") martwi się tem, że policja gnębi prostytutki, że bogobojni młodzieńcy uczęszczają do domów publicznych i zarażają się brzydkiemi chorobami, że kobiety z suteryn rodzą po piętnaścioro dzieci i t. d. Wszystko to ma naprawić „Światowa Liga Reformy Seksualnej", która przeprowadzi szybko „renesans ciała ludzkiego". Ale co to jeszcze przyjdzie się nagryźć i nasmucić, zanim usunie się przesądy etyczne i religijne, a także przeszkody prawne, stawiane tej poczciwej Lidze! Tylko anglosasi są, zdaniem Boy'a, mądrzy, gdy przodują ruchowi reformistycznemu. Fakt, iż narodom anglosaskim grozi katastrofa na wszystkich polach działalności ludzkiej, co stwierdzają jednomyślnie uczeni i politycy, oczywiście nic Boy'a nie obchodzi.

Bardzo znamienną rzeczą jest stosunek Żeleńskiego do młodzieży. Rozumie on dobrze, iż nie pozyskawszy młodych, pójdzie wkrótce w zapomnienie, to też próbuje różnych środków, aby zdobyć na nich wpływ. W artykule p. t. „Bunt młodzieży" (w książce „Zmysły, zmysły"), powołując się na stosunki amerykańskie, stara się dowieść, że i u nas młodzież buntuje się powszechnie przeciw obowiązującym normom i zwyczajom. Mają to stwierdzić dwa „dokumenty": list gimnazisty, proszącego o protekcję do „Qui-pro-quo" i drugi list, ucznia siódmej klasy z Łowicza, który chce wstąpić do masonerji i obiecuje zmasonizować cały Łowicz, byle mu przysłano trochę pieniędzy na podróż do Warszawy dla niego i kolegów. Co na to mówią mieszkańcy arcybiskupiego Łowicza, nie wiem, ale że cytowanie tego rodzaju „dokumentów" jest wysoce komiczne, to chyba jasne. Żeleński zachwyca się przedsiębiorczością i obrotnością owych gimnazistów i wyznaje, że za jego czasów szkolnych nikt nie zdobyłby się na taką inicjatywę. Otóż właśnie! Dzięki temu, że młodzież dzisiejsza ma istotnie dużo energji i sprężystości, że nie jest zahukana, jak niegdyś w stańczykowskim Krakowie, że umie sobie dawać radę w życiu powojennem, niema u nas żadnego buntu, poza wyjątkami, które zawsze się zdarzą. Tem zabawniej wyglądają zapewnienia Boy'a, że młodzież dzisiejsza mści się za zmarnowaną młodość starej generacji. „Zbuntowała się i chce żyć" woła Boy o młodzieży — i błogosławi: „Niechże jej Bóg da wszystko najlepsze". Czyż to nie piękny gest, przypominający patrjarchalizm starego Pławickiego z „Rodziny Połanieckich"?

Ale nie zawsze jest Boy tak życzliwie usposobiony dla młodzieży, jak dla owych odosobnionych kandydatów do kabaretu i do loży masońskiej. W artykule p. t. „Narzeczeni" („Zmysły, zmysły") beszta młodych, gdyż na ankietę o małżeństwie, rozpisaną przez jakiś dziennik, dali odpowiedzi, że uważają małżeństwo za „gwarancję rozwoju i zwartości narodu", za „podstawową komórkę społeczeństwa", za „nierozerwalny sakrament" i t. p. Zastrzegli się „przeciw wszelkiej zmianie" ustawodawstwa małżeńskiego. Tego już za wiele! Boy wymyśla młodym od starych ciotek, od bezmyślników, powtarzających frazesy i oburza się na nich za to, że na sztuce osławionej „Cyankali" rzucali cuchnące bomby. Fakt, iż młodzież współczesna, wychowana w zmienionych warunkach i w atmosferze rozluźnionych węzłów moralności tradycyjnej, sama do niej gremjalnie powraca jako do pociągającej nowości, jest zjawiskiem powszechnem i głębokiem. Wskazywałem poprzednio (w artyk. „Krytyka obyczajowości współczesnej", „Myśl Narodowa", Nr 55), iż dążenia etyczne młodzieży, ściśle związane z przełomem powojennym, z jej uczuciowością oraz ideologią narodową, są rzeczą niezrozumiałą dla starszej generacji naszych fejletonistów i beletrystów. Zamiast wniknąć bez uprzedzeń w życie duchowe młodych pokoleń, Boy chce im narzucić swój powierzchowny i przestarzały punkt widzenia. Zamiast posłuchać, co studenci mówią na wiecach i zebraniach towarzyskich, irytuje się na ich zacofanie, które w rzeczywistości jest najradykalniejszym postępem, jaki sobie można wyobrazić. Młode generacje są tak zgodne w pojmowaniu zasad życia moralnego, narodowego, społecznego i religijnego, jak chyba nigdy dotychczas w Polsce się nie zdarzyło. Już to samo powinno dać ludziom rozsądnym dużo do myślenia i przekonać ich, że taka jednomyślność — zwłaszcza u nas — musi mieć głębokie fundamenty, nietylko w splocie warunków historycznych, lecz przedewszystkiem w psychice i nastawieniu intelektualnem młodzieży. Dość porównać wyobrażenia i ideały młodych z epoki Przybyszewskiego z poglądem na świat młodzieży dzisiejszej, aby sobie zdać sprawę z olbrzymiej przestrzeni, którą zostawiliśmy za sobą.

Wkońcu zaryzykuję twierdzenie, iż dotychczas nie wielbiciele zrobili Żeleńskiemu najwięcej reklamy, lecz przeciwnicy, włażący niezdarnie na

koturny świętego oburzenia, z jakiem wyklinali patrona „Świadomego macierzyństwa“. Wytaczanie takich kolubryn, jak: ohyda, wstręt, hańba, obrzydzenie, pogarda, robiło nieproporcjonalny rozgłos agitacji Boy'a. Tymczasem Żeleński, polemizując, sam przejął się szablonem retorycznym swych antagonistów. Żarliwość i zgroza, z jaką peroruje o bolączkach życia płciowego, trąci rozdzieraniem szat, przed którem tak słusznie przestrzegał innych. Propaganda Boy'a jest dość chaotyczna i lekkomyślna, to też łatwo ją zlikwidować zapomocą dobrej organizacji opinji publicznej, nie robiąc Mefista z niesfornego literata.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

O ZADANIACH PROPAGANDY POLSKIEJ W ANGLJI

Odczyt G. K. CHESTERTONA, wygłoszony w Kole Polsko-Angielskiem w Londynie, dnia 26 maja 1930 r.

WŁAŚNIE dowiedziałem się z obwieszczenia przewodniczącego, na jaki temat mam mówić [1]). Przypuszczam, że gdzieś — kiedyś zgodziłem się go poruszyć, ale tak niezmiernego problemu nie chcę teraz oświetlać, jeno zagadnienie węższe: jaka powinna być propaganda polska w Anglji, żeby najlepiej spełniła swoje zadanie? Odkąd zacząłem interesować się Polską, przez ręce moje przesunęło się mnóstwo broszur propagandowych, które czytałem uważnie i z zaciekawieniem: ale wszystkie grzeszyły, sądzę, jedną wadą kardynalną: były pisane w przypuszczeniu, że jesteśmy (Anglicy) narodem *par excellence* praktycznym i prozaicznym. Operowały wyłącznie materjałem rzeczowym, statystykami etc. Autorzy tak przemawiali do Anglików, jakby ci znali Polskę równie dobrze, jak jej sąsiedzi. Tymczasem dwa podstawowe tutaj fakty w psychologji Anglika są: ignorancja i imaginacyjność. Anglicy w ogromnej większości tyle że słyszeli o Polsce, ale nic więcej. Dane statystyczne są dobrą i logiczną informacją, ale dla tych, co już coś wiedzą o przedmiocie. Dla Anglika w tym wypadku są to pouczenia statystyczne o kraju baśni. Błędem jest sądzić, że Anglicy są w istocie tak praktyczni i prozaiczni. Z pewnością opinja ta pochlebia im, lubią to od czasu do czasu słyszeć, że są narodem ludzi twardych i praktycznych. Ale w gruncie rzeczy i w tem, jak w innych rzeczach, żyją wyobraźnią. Jest cały szereg takich fikcyj o narodzie angielskim, utrwalonych w popularnem mniemaniu: konstytucja, początek nowoczesnej historji Anglji w XVI i XVII w., wolność prasy — fikcyj, które ogół przyjmuje za prawdę, a które z rzeczywistością niewiele mają wspólnego. Co do wolności prasy, to o tem, że jej niema, wiem najlepiej z własnego doświadczenia, jako dziennikarz. Otóż trzeba odwołać się do wyobraźni Anglika, która poniekąd przypomina wyobraźnię dziecka, np. lubi obrazki. Prawie całej historji Anglji uczymy się z obrazków, które znowuż przeważnie przedstawiają fikcje. Trzeba uprawiać propagandę bardzo elementarną: pouczać, a zarazem dać pokarm wyobraźni. Zadanie trudne, zwłaszcza w dzisiejszych warunkach, kiedy nastąpiła przemiana społeczeństw arystokratycznych na plutokratyczne. Plutokracja ma zwyczaje kraba-pustelnika, który włazi do cudzej muszli i w niej mieszka — tak plutokracja przejęła mechanizm państwowy po arystokracji. Ongiś ster nawy państwowej dzierżyła w Anglji, a jeszcze przedtem w Polsce, arystokracja. Rządy jej nad zbiorowością polegały na tem w Anglji, że ta patrjotyczna, a cyniczna arystokracja umiała odpowiednio do swych celów zapalać wyobraźnię mas. Wedle swego uznania rozżagwiała wyobraźnię pokoju lub wojny. „Spojrzyjcie na to, co się dzieje u Kamczadalów!”—padało hasło, i naród wybuchał oburzeniem na Kamczadalów. „Co też wyprawia ta Nicaragua“!— i rzeczywiście, przy bliższem wejrzeniu, okazywało się, jak wszędzie w podobnych okolicznościach, że Nicaragua niejedno ma nie w porządku. Intencje arystokracji były patrjotyczne, a przedewszystkiem cechowała ją znajomość rzeczy. Taki Lord Balfour znał dobrze sprawę polską i irlandzką; dla patrjotycznych w swojem rozumieniu pobudek Irlandję na całym froncie zwalczał, Polskę niemal na całym froncie popierał. A weźmy takiego przedstawiciela dzisiejszej plutokracji, jak Lord Beaverbrook... Ten napewno nic nie wie o Polsce, a doradców ma tego rodzaju, że też wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nic mu o tem nie powiedzą. Otóż, odwołując się do wyobraźni Anglików, trzeba pokazać historię Polski, jako monumentalną, wielką, heroiczną. Że jeden tylko przytoczę przykład, nie wiedzą dziś ludzie o tym wielkim bohaterze, którego nazwisko raz dobrze wymówiłem w Polsce, ale nie potrafiłbym powtórzyć tutaj, — nazwisko, które poeta angielski, ze względu na rym i rytm, zdeformował na „Kosciusko“. Otóż trzeba Anglikom ukazać pierwiastki romantyczne i heroiczne w historji Polski. Bezprzykładny w dziejach był upadek Polski, bezprzykładne zmartwychwstanie. Znają wszyscy anegdotę o słoniu i sprawie polskiej. W tej chwili tem łacniej przychodzi na myśl, że uprzytomnia ją niniejsze zebranie: ja jestem słoń, a wy — to sprawa polska [2]). Otóż nie znam piękniejszego epizodu heroicznego, jak ten biblijny o czynie Machabeusza, zapomniany prawie od czasów średniowiecznych. Dziwna rzecz, że zdarzył się w historji Żydów, którzy stali się narodem szwindlarzy (*swindlers*). W jakiejś bitwie Machabeusz, zbrojny tylko w nóż, stanął do walki ze słoniem, i dźgnął kolosa, że ów padł. Polskę przywaliły trzy wielkie słonie, trzy olbrzymie cesarstwa, a ona dźgała i dźgała, aż wszystkie trzy padły trupem, a ona powstała. Nie znam nic podobnego w historji. Zarys słonia, aczkolwiek potworny, ma to do siebie, że można go jedną linją wyprowadzić; podobnież chodzi o przedstawienie „zarysowe“, sugestywne historji Polski, historji wielkiego cudu, który zdarzył się za naszych czasów w środku Europy.

[1]) Streszczenie powyższe niżej podpisany zrobił z pamięci zaraz po odczycie. Skrót, mam wrażenie, nigdzie nie zniekształca myśli prelegenta, a miejscami podaje ją dosłownie. Znakomity pisarz wziął pierwotnie za temat przemówienia zagadnienia rozleglejsze: „Anglja, Polska, a kryzys europejski“ — ostatecznie uznał za pożyteczniejsze oświetlić inną, bardziej specjalną, kwestję.

Witold Chwalewik

[2]) Robiąc powyższą aluzję, prelegent przypuszczał mylnie, że audytorjum składa się przeważnie z Polaków. W rzeczywistości przeważali bardzo Anglicy.

NA WIDOWNI

Krytycy „taktowni“ i „nietaktowni“.—Głośno o Żydach, cicho o żydostwie. — Recenzja L. Piwińskiego o „Dziedzictwie“ Wybranowskiego. — Partykularz kresowego miasteczka.

KRYTYK lub historyk literatury, który ogłosiłby rozprawkę np. „O assonansach i alliteracjach w poezji Antoniego Słonimskiego“, zyskały sobie w światku, grupującym się dookoła „Wiadomości Literackich“, opinję człowieka światłego, którego praca badawcza zasługuje na szacunek oraz pełne życzliwości poparcie ze strony kulturalnych warstw społeczeństwa; gdyby następnie napisał szkic pod tytułem np. „Tradycjonalizm w twórczości Juljana Tuwima“, awansowałby w opinji tejże sfery na pisarza nieprzeciętnego, którego talent i umiejętność krytyczna jaknajlepsze pozwalają rokować nadzieje na przyszłość; gdyby wreszcie opublikował studjum p. t. „Idea postępu ludzkości w dziełach Szaloma Asza“, potraktowanoby go bezwątpienia jako umysł niezwykły, wolny od uprzedzeń, powitanoby go jako gwiazdę pierwszej wielkości na firmamencie naszego piśmiennictwa. Niechby wszakże popробował wystąpić z dyssertacją: „Słonimski, Tuwim, Szalom Asz, pokrewieństwo ich typu psychicznego tudzież wspólność ich artystycznych ideałów“ — niewątpliwie uznanoby to za rzecz conajmniej nietaktowną, za pomysł niesmaczny, autora zaś oskarżonoby o wprowadzanie „polityki“ do literatury i raz na zawsze skreślono z listy pisarzy „poważnych“, „posługujących się metodą naukową“, „objektywnych“.

Zjawisko, o którem mowa, posiada bezsprzecznie znaczenie ogólniejsze. Nader łatwo wyobrazić sobie, że w którymkolwiek z dzienników o ideologji „państwowościowej“ drukowana będzie pewnego dnia drobna notatka informacyjna, donosząca naprzykład, że „panna Gustawa Wajnsztok ukończyła chlubnie studja polonistyczne, złożywszy pracę magisterską p. t. Wyrzeczenie się interesu narodowego jako najszczytniejszy wyraz patrjotyzmu polskiego (na podstawie ideologji Trzech Wieszczów)“, albo że „rotmistrz Dawid Fenigsztajn - Bohaternicki, autor książki p.t. „Czyn Orężny Wodza“ (Bibljoteczka podręczna Szwoleżera, tom I), odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi“. Ale zgóry można być pewnym najzupełniej, że żaden dziennik lewicowy, czy „państwowościowy“ nie zamieści nigdy informacji o tem, jaki procent wśród kończących wydziały filozoficzne studentów, w szczególności wśród przyszłych nauczycieli historji i literatury polskiej w polskich gimnazjach, pochodzi ze społeczeństwa żydowskiego, ani też nigdy nie pojawi się w żadnem ze wspomnianych pism wiadomość, jaka liczba żydów z pochodzenia znajduje się dziś w korpusie oficerskim armji polskiej i na jakich mianowicie stanowiskach. Można wprost zaryzykować twierdzenie, że im systematyczniej pismo jakieś popiera i reklamuje żydów na rozmaitych polach ich działalności, tem gorliwiej usiłuje zacierać rolę czynnika, stanowiącego więź, łączącą tych wszystkich żydów poszczególnych i wyznaczającego wspólny kierunek ich dążeń, tem dyskretniej stara się milczeć o — żydostwie. Pisać o żydostwie, jako całości, zwłaszcza o jego planach i działaniach politycznych oraz o zasięgu jego wpływów w Polsce współczesnej, jest w środowiskach tych uważane za coś równie przynajmniej niewłaściwego i w złym tonie, jak np. rozpoczynanie pogawędki o sznurze w domu wisielca, albo rozmowa o zaginionych generałach w towarzystwie szanujących się sanatorów.

Tych kilka refleksyj nasunęła mi recenzja p. Leon Piwińskiego z powieści Kazimierza Wybranowskiego „Dziedzictwo“, zamieszczona ostatnio w „Wiadomościach Literackich“.

„Powieść“ — pisze p. L. Piwiński — „przedstawia walkę na śmierć i życie dwóch wybitnych ludzi z potężną organizacją międzynarodową, działającą konspiracyjnie.. Organizacja występuje w powieści pod pseudonimem „Związku Uczynnych Grabarzy“, ale powieść nie pozostawia wątpliwości, że chodzi o masonerję. Otóż autor ułatwił sobie zadanie w ten sposób, że całą organizację przedstawił jako zbiorowisko pospolitych przestępców kryminalnych, zorganizowanych świetnie, ale dla celów ostatecznych niewiadomych. Z powieści można wywnioskować tylko tyle, że celem tym jest zdobywanie majątków zapomocą oszustwa i zbrodni“.

Dalej zaś dodaje tonem pouczenia:

„Jeżeli... ma to być obraz walki z tajemniczą organizacją o programie ideowo-politycznym, to rzecz jest grubo uproszczona i przesadzona w taki sam sposób, jak uproszczony i przesadzony jest pogląd (rozwinięty w epizodzie o starym Culmerze), że powstanie r. 1863 było zorganizowane przez masonów i to głównie dla zysków materjalnych... Powieść, skoro zajmuje się tematem tak spornym, tajemniczym, prawie mistycznym, jak masonerja, powinna była ukazać jakieś subtelniejsze, a przedewszystkiem prawdopodobne i zrozumiałe motywy działania tej organizacji“.

Otóż ktokolwiek czytał „Dziedzictwo“, wie oczywiście, że pogląd autora na masonerję („Związek Uczynnych Grabarzy“) można krótko streścić w sposób następujący: jest to organizacja tajna, międzynarodowa, jednająca sobie członków hasłami „postępu“ i frazeologją humanitarystyczną, wiążąca ich przez wzajemną pomoc w karjerze politycznej, naukowej i t. p. tudzież w osiąganiu korzyści materjalnych, a posługująca się w działaniu swem także metodami hypnotyzmu i szantażu; organizacja, której właściwymi, w pełni świadomymi celu kierownikami są żydzi, używający jej jako narzędzia dla urzeczywistnienia wielkich, historycznych dążeń żydostwa. Nawiasowo zauważyć można, iż pogląd taki przekonywający jest choćby z tego powodu, że wyjaśnia fakt wiekowego utrzymywania się organizacji masońskiej, zrozumiały przy oparciu jej o najtrwalsze, religijne i narodowe interesy zbiorowości, istniejącej przez tysiąclecia, jak żydostwo, gdy tymczasem szajka kryminalistów, których celem jedynym byłoby „zdobywanie majątków zapomocą oszustwa i zbrodni“, bardzo szybko musiałaby rozpaść się i ulec zniszczeniu.

Oto jeden z licznych fragmentów „Dziedzictwa“, w którym K. Wybranowski ten właśnie pogląd na organizację masońską („Związek Uczynnych Grabarzy“) formułuje. Do przyjętego odniedawna do „grabarzy“ prof. Kozienieckiego mówi Zbigniew Twardowski, centralna postać powieści, wypowiadająca z reguły poglądy samego autora:

— Widzi pan ten wóz parokonny, naładowany pakami towarów? Wy, członkowie tej organizacji, nawet zajmujący w niej dość wysokie stopnie, wiecie tyle o właściwych jej celach i o tem, kto nią kieruje, ile te konie wiedzą o zawartości pak, leżących na wozie oraz o nazwisku i pochodzeniu ich właściciela...

— Co najgorsze — ciągnął Twardowski — że zdajecie sobie z tego sprawę, przynajmniej ci, ktorzy umieją trochę myśleć... postawię przed panem jedno pytanie. Macie swobodę poglądu na wiele rzeczy; macie prawo wolnej krytyki w wielu sprawach. Jest atoli jeden przedmiot, do którego

z krytyką przystępować nie wolno, jedna dziedzina, w której nie wolno stwierdzać najoczywistszych faktów. Pan dobrze wie, że mówię o Żydach. To najlepszy dowód, że oni was prowadzą i wami rządzą. Jesteście ich zwierzętami domowemi, wykonywającemi ich wolę, pracującemi dla nich, strzegącemi, ażeby ich bezeceństwa nietylko pozostawały bezkarnemi, ale były pokrywane milczeniem".

Również i „epizod o starym Culmerze" nie upoważnia bynajmniej, w świetle tekstu „Dziedzictwa", do wyprowadzenia konkluzji, jakoby masoni organizowali powstanie 1863 roku „głównie dla zysków materjalnych". Oto niektóre nauki i poufne wskazania, jakiemi stary Józef Culmer dzielił się ze swym synem, sposobiącym się do odegrania czynnej roli w Związku Uczynnych Grabarzy:

„— Moją rolą — mówił stary — było pozyskać stanowisko wśród Polaków i kierować jaknajskuteczniej ich postępowaniem. Dlatego musiałem się ochrzcić i schować swe żydostwo... Ale w tem jest jedno nieszczęście: nie mogłem ci dać gruntownego wykształcenia żydowskiego... To też możesz w życiu zająć i pewnie zajmiesz duże, większe ode mnie stanowisko, ale wśród naszych, w ich władzach wewnętrznych, wysoko zajść nie możesz...

— Ja także lubiłem używać życia i nie odmawiałem sobie niczego, gdy mnie stać na to było... Ale ja na każdym kroku pamiętałem o naszej sprawie... Berlin beze mnie nie zrobiłby tego, o co mu chodziło. A powstanie nas posunęło dużo naprzód. Patrz, czem byliśmy w tym kraju przed powstaniem, a czem dziś jesteśmy...

— ...Sprawa nasza nietylko wymaga, żebyśmy my byli bogaci, ale żeby nasz naród miał swoje fundusze na popieranie swoich celów. Każdy z nas musi się na te fundusze składać, i dlatego, że to umiemy, idziemy do zwycięstwa. Oni dużo o swej Polsce krzyczą, ale nic dla niej nie robią i nic jej nie dają, i dlatego my nad nimi zapanujemy".

Cokolwiek możnaby rzec o zaletach czy wadach Wybranowskiego jako literata, jedno żadnej nie ulega wątpliwości: autor „Dziedzictwa" umie myśli swe formułować w sposób niezmiernie jasny i precyzyjny, pod tym względem mógłby stanowić wzór dla wszystkich, najbardziej utalentowanych beletrystów. Doprawdy zadziwiającem jest przeto zdarzeniem, że p. Leon Piwiński, dostatecznie bystry w swej przenikliwości, by zauważyć tożsamość „Związku Uczynnych Grabarzy" z masonerją, aczkolwiek o tem żadna wzmianka w tekście powieści nie była uczyniona, równocześnie nie chce zwrócić uwagi na rolę, odgrywaną pośród „grabarzy" przez żydostwo, choć o tem autor przypomina przy najróżniejszych sposobnościach, z wytrwałością nie powieściopisarza już, ale cierpliwego pedagoga.

Dlatego właśnie zdarzenie z recenzją p. Piwińskiego jest tak znamienne i nie od rzeczy było poświęcić mu na tem miejscu więcej uwagi oraz zająć się konfrontacją opinij sprawozdawcy z kilkoma choćby przytoczniami z powieści. Okazało się, że krytyk z autorytetem, krytyk niejednokrotnie umiejący wykazać się subtelną wrażliwością artystyczną, zdecydował się raczej zlekceważyć bezceremonjalnie tekst omawianego przez siebie utworu, nie rachować się z niedwuznaczną zupełnie jego treścią, aniżeli odważyć się na nietakt towarzyski poruszenia kwestji planów i metod organizacyjnych żydostwa, i to w dodatku na łamach „Wiadomości Literackich". P. Piwiński, wolał z dwojga złego narazić się na reputację człowieka, który nie rozumie tego, co czyta, wolał wystawić się na zarzut nieścisłego, a nawet wprost nieodpowiadającego prawdzie przedstawienia sensu referowanej przez siebie powieści, odczuwając bodaj instynktownie, że taki zarzut niezbyt mu w dzisiejszej opinji „fachowej" zaszkodzi (komuż w światku literackim Warszawki zależy na serjo na rzetelności intelektualnej i na prawdzie?), gdy tymczasem zwrócenie uwagi na rolę żydostwa („wprowadzanie polityki do literatury"!!!) nigdyby mu nie zostało wybaczone.

I tu dopiero, niby na dłoni, jest widoczne, jak pomimo pozornego poloru, nasz współczesny światek „kulturalny" daleki jest od świata pojęć zachodnio-europejskich, jaka to prowincyjka zapadła, jaki zabity deskami partykularz! Bo cywilizacja zachodnio-europejska—zauważa słusznie Wybranowski w „Dziedzictwie"—„od czasów greckich wychowuje w nas kult prawdy i pogardę dla kłamstwa". W warszawskim kramiku informacyj literackich, ten kult prawdy, potrzeba moralna prawdy jest czemś równie obcem i egzotycznem, jak niezrozumiałą jest ona dla pejsatych kupców z Pińska czy Baranowicz, robiących „geszefty" i wrzaskliwie narzucających się ze swem pośrednictwem przybywającym do miasteczka przedstawicielom ludności tubylczej. Kiedyż polscy pisarze i polscy krytycy wyrwą się z tej, zgoła dla nich nieodpowiedniej atmosfery? Otworzyć okna! Niechże wreszcie „wiatr zachodni ogrzeje te państwa".

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

CZY GROZI KONFLIKT KOŚCIOŁA Z PAŃSTWEM? Na to pytanie odpowiada przy opłatku — okólnikiem na całą prasę sanacyjną — p. Janusz Radziwiłł, wódz stronnictwa konserwatywnego. Czytelnik spodziewa się pewno solidnej informacji, w każdym razie szczerości. Nieprawda?

„Powiedzmy tu odrazu — mówi p. Radziwiłł — Rząd Rzeczypospolitej tego konfliktu nie pragnie. Nie chcemy być gołosłowni i powoływać się tylko na nasze doświadczenie lub zakonspirowane wiadomości, więc przytoczymy jeden tylko, ale przekonywujący dowód. Rząd oddał w ręce jednego ze swych najwyższych urzędników państwowych pieczę nad stosunkami Państwa do Kościoła, zrobił z niego, że się tak wyrażę, sędziego i arbitra tego, na co pozwala interes Państwa i tego, czego wymaga interes Kościoła. — Tym wysokim urzędnikiem państwowym jest kapłan katolicki, wybitny rozumem, doświadczeniem i wiedzą prawnik kanonista Nie znam przykładu, żeby jakiekolwiek inne państwo współczesne w ten właśnie sposób zaznaczyło swą gotowość i wolę współpracy z czynnikami kościelnemi"

P. Radziwiłł nie zna przykładu, aby jakiekolwiek inne państwo mianowało ks. Żongołłowicza wiceministrem. Więc o rząd możemy być spokojni, konfliktu nie wywoła. Aczkolwiek...

„W obozie rządowym znajdują się elementy antyklerykalne lub akatolickie, jeżeli kto woli — wolnomyślne, dla których zatarg, o którym piszemy, nie stanowi żadnej groźby, owszem byłby rzeczą pożądaną, może nawet upragnioną. O nich pisać nie warto, bo przekonać się nie dadzą, ani wyleczyć ze swoich tradycyjnych przekonań czy uprzedzeń."

Bagatela! O rządowym obozie pisać nie warto! P. Radziwiłł więcej się niepokoi o duchowieństwo katolickie: ono dąży do konfliktu.

„Godniejszą zastanowienia rzeczą jest jednak to, że i po stronie katolickiej są elementy nie pozbawione znaczenia i wpływu nawet wśród wyższego duchowieństwa, których zachowanie zdaje się dowodzić chęci zaostrzenia i przyspieszenia konfliktu, któryby ich zdaniem musiał doprowadzić do upadku rządu czy *regime*'u, i po przez walkę z Kościołem jako środka — do trjumfu partji jako celu. W tem tkwi niebezpieczeństwo."

Jednem słowem niebezpieczeństwo grozi ze strony Kościoła. O sferach rządowych nie warto mówić.

Tak przygotowuje się grunt do walki z Kościołem o reformę prawa małżeńskiego. Za parawanem księdza kresowego ks. Żongołłowicza. A gdzież jest dyrektor departamentu wyznań Franciszek Potocki? Ksiądz ma dźwigać odpowiedzialność za walkę z „wyższem duchowieństwem"? Że też pozwala się do tego używać!

GŁOS Z DJALOGU POLITYCZNEGO, prowadzonego w „Czasie", uprzytomnił nam, przy okazji Gwiazdki, jak bardzo w r. 1931 pozostajemy w tyle, pod względem rozwoju pojęć państwowych, w stosunku np. — do r. 1563. W owym odległym roku wyszedł z druku słynny „Djalog około egzekucji" Stanisława Orzechowskiego, djalog, w którym Papieżnik i Ewangelik rozmawiali o prawie; w trzysta sześćdziesiąt osiem lat później, na łamach krakowskiego pisma „konserwatywnego", toczy się uroczysta rozmowa — o bacie. Nazwany jest państwowo „instrumentem". „Jednym z koniecznych instrumentów każdego rządu". Padają aforyzmy: „Bez bata nie można rządzić żadnym narodem..." „Bat jest niezawodnie potrzebny". Tak „określa swoje stanowisko" Dr. Jan Hupka, „wieloletni towarzysz i dzielny sprzymierzeniec" pracowników redakcji „Czasu". A redaktor pisma, p. Stanisław Estreicher w odpowiedzi snuje w numerze — wątpliwości. Nagłówek: „Czy Polską należy rządzić batem?"

Jakiś przeraźliwy brak godności narodowej uderza w tej poważnej dyskusji. Zaiste, gwałtownie można zatęsknić do czasów godnego języka i godnych pojęć obywatelskich i państwowych z czasów przed wiekami, do owego wyższego poziomu cywilizacji z r. 1563. Przymus jest tak stary, jak życie państwowe. Nowy jest ekonomski symbol, który się upowszechnił w języku politycznym od czasu zamachu majowego, i zajął swoje miejsce w wyobraźni Hupków. Piękne pojęcie „rządów prawa", wymowniej chwali Orzechowski w XVI, niż Anglik Dicey w XX wieku. Było zasadą i pojęciem bezspornem dla wszystkich Polaków. „W samej tylko Polszce prawo tak królowi jako poddanemu rozkazuje; już to bez swaru tak między nami niech zostanie". „Tak od wszystkich ludzi o tem słychałem" — przytwierdza Papieżnikowi Ewangelik. Idea „rządów prawa" zagrzewała duszę narodową pisarza z przed wieków, uszlachetniała mowę i obrazowanie. „Prawo nasze polskie na równości wszystko zawisło; nic innego przed sobą nie ma Rzeczpospolita nasza Polska, jedno to, aby wszyscy, ubogi, bogaty, król, poddany, pod prawem jednostajnie żywiąc, prawem sobie wszyscy między sobą równi byli. A tak nie ganiąc Czechów ani prawa czeskiego, ani postępków królestwa onego, zostańmy przy prawie swem polskiem, dziękując za to Panu Bogu, iżechmy się w takiej rzeczypospolitej porodzili, w której prawo rozkazuje tak królowi, jako poddanemu królewskiemu. Przeto nie bójmy się tego nigdy, aby nas ten orzeł nasz polski palcy ostremi swemi kiedy podrapał, tak jako indzie lwowie i orłowie podrapali poddane swe". Czy może słowa te bez upokorzenia czytać Polak w roku 1931?

ALE NIETYLKO SYMBOL PRZYMUSU PAŃSTWOWEGO jest dziś podlejszy, niż w w. XVI — spodlała i pokryta symbolem treść cywilizacyjna. Bat — i prawo; nie trzeba na to mieć wiele instynktu „państwowego", żeby zauważyć różnicę. Przymusu prawnego, w cywilizacji harmonijnej, porządnej, tradycjonalistycznej — nie czujemy, stał się on w szerokiej mierze — przymusem wewnętrznym. „Prawo jest jak powietrze" — nie ciąży duszy Europejczyka. Rządy prawa — to władztwo cywilizacji narodowej, to właśnie żywioł, w którym jedynie znajdujemy „swobodę". „Bat" natomiast — to majestatyczny, jeśli chcecie, symbol trwałej rozterki w życiu państwowem, mechanicznie tylko uśmierzanej, znak niewiary w cywilizację ojczystą. Jest to domniemanie, że prawo panować nie może. Zauważcie, jak to domniemanie rozpowszechniło się w ostatniem pięcioleciu. „Rządy prawa — to dobre dla Anglji, dla państw Europy Zachodniej, dla Polski wieku XVI — ale nie dla nas dzisiaj". Wykreślenie się z Europy, i razem — zerwanie z najcenniejszemi tradycjami ojczystemi — to zdobycz moralna okresu rządów sanacyjnych w Polsce. Trzeba być „mocarstwowem" czasów dzisiejszych, aby czuć się z niej dumnym. Czemże innem, jak świadectwem wyzucia z tradycji państwowej polskiej i europejskiej, jest popularyzowana dziś idea „silnego rządu"? „Silny rząd" — znaczy właściwie: silny wobec prawa. Nie zdajemy sobie sprawy, jak dalece takie hasło jest w cywilizowanej Europie — egzotyczne. Na Zachodzie rozlegają się wołania o rząd: energiczny, uczciwy, rozumny, z inicjatywą, etc., nie rozlegają się wołania o rząd „silny". To byłoby całkiem niezrozumiałe.

Z TRADYCYJ WILEŃSKICH nader interesujący szczegół przesłał nam p. Bolesław Jakubowski z Koneckiego. Dziad moj — pisze — Józef Jakubowski, ppor. 4 pułku ułanów, zostawił mi w spuściźnie bardzo ciekawą książkę wydaną w 1814 roku w Paryżu, a zatytułowaną: „*Relation Circonstanciée de la Campagne de Russie par Eugêne Labaume, Capitaine au Corps Royal des Ingenieurs Géographes*". (Relacja okolicznościowa z Kampanji Rosyjskiej przez Eugenjusza Labaume, kapitana przy królewskim Korpusie Inżynierów Geografów).

Czytając tę książkę, znalazłem na str. 396 straszny opis, jak resztki cofającej się Armji Napoleona, zostały ogarnięte przez Rosjan w Wilnie dn. 11 grudnia 1812, oraz jak żołnierze byli napadani przez ludność żydowską. Kapitan Labaume pisze dosłownie: „*Nous apprîmes aussi que les Juifs avaient fait main basse sur quantitée de nos soldats, particuliérement sur ceux de la Garde Imperiale*"...[1])

W ostatecznych chwilach odwrotu gwardją cesarską byli, jak wiadomo, przeważnie Polacy z V-go korpusu ks. J. Poniatowskiego, może więc były to porachunki z Polakami?

Fakt ten, opisany przez bestronnego oficera francuskiego, dowodzi raz jeszcze jeden, jak Żydzi potrafią pastwić się nad bezbronnymi z okrzykiem „nasi zwyciężają!" A „nasi", to zawsze ci, co zwyciężają.

---

[1]) „Dowiedzieliśmy się również, że żydzi w pień wycęili mnóstwo naszych żołnierzy, zwłaszcza tych z gwardji cesarskiej"...

KONFIDENCI I PROWOKATORZY

KONFIDENT jest to ten, kto poufnie udziela policji wiadomości. Odpowiednia władza poręcza mu tę poufność, to znaczy, że konfident nie powinien zostać przez władze wymieniony, ma on być w ukryciu, po za nawiasem sprawy. Prowokator jest ten, kto podżega do spełnienia przestępstwa, a gdy już kogoś namówił i uwiódł, oddaje go potem w ręce władzy. W praktyce konfidenci są najczęściej prowokatorami. Konfidenci i prowokatorzy są zazwyczaj werbowani za pewne korzyści, nastawiani dla uzyskania przyznania lub wciągnięcia osób podejrzanych, a po spełnieniu przez nich czynu zamierzonego, ochraniani przez władze.

Słynnym w dziejach konfidentem—prowokatorem był Azef, jednocześnie jeden z założycieli organizacji bojowej rosyjskich „eserów" i jej niepodzielny prawie dyktator. Aby utrwalić swą dyktaturę w partji, wyzyskiwał w sposób nadzwyczaj zręczny wszelkie tarcia, swary i rozterki wewnętrzne. Drugim sposobem, którego używał, było usuwanie konkurencji. Robił systematyczny dobór między swymi towarzyszami. Czynił to w ten sposób, że usuwał każdego, kto nie był mu ślepo oddany, kto objawił choćby tylko cień inicjatywy i samodzielnej działalności. Taka jednostka czy grupa była przeznaczona na zagładę i w stosownej chwili ginęła. Posyłał na śmierć ludzi w sposób nie zwykle zręczny. Zdradzał ich, ale tak, żeby ta zdrada nie mogła być jemu przypisana, komu innemu—owszem. Azef, w jednej osobie członek ochrany i szef rosyjskich „eserów" zorganizował i częściowo wykonał zamach na Plewego i wielkiego księcia Sergjusza. Swój czynny współudział w zamachu Azef początkowo zataił przed policją. A gdy się później policja o tym współudziale dowiedziała, musiała się pogodzić, bo fakt już się stał.

Gdy rewolucjonistów zaczęły dochodzić wieści o tem, że Azef od długich lat jest ajentem Ochrany, nie dawano temu wiary. Gdy wiadomości o zdradzie mnożyły się, nie zwracano na nie uwagi. Ale Burcew nie ustawał, niezmordowanie prowadził śledztwo, tak że stronnictwo postawiło go nawet przed sądem partyjnym i tu Burcew drogą żelaznej logiki i zestawienia zadziwiających aresztowań wykazał, że w samem centrum partji jest prowokacja a prowokatorem jest Azef. To rozumowanie Burcewa zostało potem potwierdzone przez informacje Łopuchina, szefa Ochrany petersburskiej. Ostatecznie Azef został zdemaskowany przez prosty przypadek, drobny przypadek, jak to zwykle bywa.

Drugim konfidentem—prowokatorem na wielką skale był litwak Jogiches, nie umiejący dobrze mówić po polsku, który pod pseudonimem Tyszki, był przez wiele lat dyktatorem Socjal-Demokracji Król. Polsk. i Litwy. Jogiches uciekł zagranicę przed wojskiem. Zagranicą wstąpił do rosyjskiej organizacji „*Oswobożdienje Truda*" Po pewnym czasie nie posiadający dotychczas pieniędzy Jogiches okazał się posiadaczem znacznej sumy, którą chciał ofiarować na wydawnictwa partyjne pod warunkiem, że on będzie faktycznym kierownikiem działalności wydawniczej rosyjskiej socjalnej demokracji. Kombinacja była podejrzana. Wyrzucono go z partji jako podejrzanego o stosunki z Ochraną. Wyrzucony z rosyjskiej partji, dostał się Jogiches do S. D. K. P. i L. Usidlił swemi wdziękami równie piękną Różę Luxemburg i po niedługim czasie został niepodzielnym panem w zarządzie głównym S. D. K. P. i L. z której zrobił żydowską ekspozyturę Ochrany. Organizacją tą kierował z Berlina. Bardzo jest prawdopodobne, że był nietylko na usługach policji carskiej, ale i pruskiej.

Władze w tej partji sprawował żelazną ręką. Jego to działalności prowokacyjnej mamy do zawdzięczenia rzezie mas robotniczych, on to zorganizował czerwcowe „powstanie" w Łodzi, walki bratobójcze, ustawiczne strajki powszechne. Leżało to w interesie obu rządów, carskiego i pruskiego, bo rozbijało polską warstwę robotniczą i osłabiało siły narodowe.

Bakaj, członek Ochrany warszawskiej, który uciekł za granicę, dostarczył sporo informacyj, dotyczących szpiegów i prowaktorów. Poświęcił im specjalny artykuł w „*Byłoje*", organie Burcewa, z r. 1909.

Prowokatorów dzieli Bakaj na trzy gatunki: prowokatorów-awanturników, prowokatorów-łotrów i prowokatorów-kombinatorów.

Prowokatorzy - awanturnicy — pisze Bakaj — przedostają się niekiedy do samych szczytów organizacji i w ciągu długiego czasu zostają tam i demaskują się tylko dzięki przypadkowi. Są oni nieszczerzy w swej sprzedajności i ta nieszczerość i obawa zdemaskowania się doprowadza ich do tego, iż o wielu rzeczach milczą i sami biorą udział w niektórych dość poważnych przedsięwzięciach. Podobny udział znany jest niekiedy władzy, lecz jeśli tego wymagają wyższe względy, zwłaszcza konieczność zabezpieczenia „współpracownika" od „wsypy", to aprobuje się to zupełnie. Oto dlaczego tacy prowokatorzy, nawet będąc posądzeni o zdradę, łatwo się usprawiedliwiają przed towarzyszami i głównym dowodem ich uczciwości i nieprawdopodobieństwa zdrady są właśnie owe przykłady ich działalności... Prowokatorów-awanturników daje wyłącznie środowisko inteligentne; jako ludzie rozgarnięci, wiedząc więcej o sprawach społeczno-rewolucyjnych, niż żandarmi, są oni kierownikami poszukiwań policyjnych.

Tacy prowokatorzy są wtajemniczani w planowe rewizje i aresztý, oczywiście pośród tych osób, które im są wiadome, i dlatego oni nigdy nie dopuszczą, żeby żandarmi ruszyli te osoby, które im są bliskie i potrzebne dla ich bezpieczeństwa... Zdarza się, że rewolucjonista, mający poważną sprawę, proponuje swe usługi w roli prowokatora... Najczęściej podobne osoby są wysyłane gdziekolwiek, ułatwiają im lub wprost organizują ucieczkę z zarządu żandamerji lub Ochrany. Wogóle na ucieczki z tych instytucyj należy zwracać baczną uwagę i analizować je jak najszczegółowiej...

Litwak Jogiches, którego karta działalności politycznej jest niezapisana, ucieka za granicę przed wojskiem, tam wstępuje do rosyjskiej organizacji rewolucyjnej, po pewnym czasie zaczyna rozporządzać znacznemi sumami, wreszcie zostaje wyrzucony z organizacji jako podejrzany o stosunki z Ochraną, wkręca się potem do SDKP. i L., zostaje kochankiem Luxemburżanki, którą nacjonaliści żydowscy czczą jak świętą, opanowywa cały zarząd partji, który oprócz Dzierżyńskiego i March-

lewskiego składa się z samych żydów (Warszawski. Warski, Fuerstenberg-Chanecki, Sobelsohn-Radek, Feinstein[1])-Małecki i t. d.) i przez długie lata prowadzi prowokacyjną, destrukcyjną robotę na gruncie Polski, czego wyniki leżą tylko w interesie żydostwa i rządów carskiego i pruskiego. Pismaki żydowskie z pod znaku socjalno-demokratycznego na komendę Jogichesa-Tyszki, dyktatora partji i prowokatora-ochrannika, wypisywały takie historje, że włosy stawały na głowie z przerażenia, do czegośmy doszli, że takie rzeczy są w Polsce możliwe. Pisano, że kultura polska to „cuchnący staw", cześć narodu to „zgrana karta szulera", a Polska — to „trup".

Za pomocą polakożerczych żydów i żydówek Ochrana opanowała zupełnie SDKP i L. i tą drogą siała zamęt w łonie klasy robotniczej i prowadziła dezorganizację siły narodowej, osłabiając jedną jej warstwę.

„Dla pozyskania sekretnej ajentury (prowokacji)—pisze Bakaj — i osłonięcia jej przed zdemaskowaniem, ajenci rządowi nie cofali się przed niczem, rozumiejąc, iż jeden prowokator w wyniku ostatecznym zawsze da więcej cennych wiadomości, niż dokonane rewizje i areszty, mogące zaszkodzić temuż prowokatorowi... Aby zjednać sobie prowokatora, nie cofają się przed urządzeniem rozmyślnych ucieczek, ani przed dezorganizacją wielkich spraw sądowych, ani przed fałszowaniem dokumentów... Często ci sami prowokatorzy uczestniczą w aktach terrorystycznych, jeśli jest to konieczne w celu ich samozachowania, lub są inicjatorami zamachów na osoby urzędowe we własnym lub zwierzchności interesie"...

Filozof włoski Vico mówił, że w historji są cykle, *corsi — ricorsi*. Idą i powracają. Jakże się niektóre rzeczy powtarzają! M. W.

---

[1]) Godne zastanowienia, że osobistą sekretarką ks. Zdzisława Lubomirskiego; późniejszego członka Rady Rejenc., obecnie senatora z BB. była podobno podczas wojny światowej p. Feinsteinówna, ponoć siostra rodzona Feinsteina, członka zarządu SDKP i L.—Co za nierozwaga!

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Tygodnik ilustrowany „Tęcza" w Poznaniu od nowego roku zmienił postać, przeobrażając się na wydawnictwo miesięczne w bogato ilustrowanych tomach, odpowiadających objętością czterem numerom tygodniowym.

*

„Myśl Niepodległa", wydawana szereg lat przez Andrzeja Niemojewskiego, obecnie przez jego syna Adama, zapowiada w ostatnim zeszycie, że od nowego roku przerywa wydawnictwo na czas nieokreślony.

*

Tow. Literatów i dziennikarzy przyznało tegoroczną nagrodę swemu członkowi Wacławowi Grubińskiemu za zbiór nowel „Człowiek z klarnetem".

*

Na podstawie licznych recenzyj, które się ukazały o książce „Warszawa" Stefana Godlewskiego ustalić można, że pod względem artyzmu literackiego zajmuje ona pierwsze miejsce w nowszej literaturze. Krytyczną analizę „Warszawy" pióra W. Chwalewika zamieściliśmy w zeszycie poprzednim. Książka Godlewskiego cieszy się wielką poczytnością, którą ułatwia nizka cena (5 zł.).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dostała mi się w ręce książka niedawno zmarłego lekarza Dr. Jana Andruszewskiego pod tytułem: „Między piekłem a niebem". Z początku zraził mnie ten tytuł niezwyczajny, ale mimo to otwarłem książkę i kilka ciekawych zdań skłoniło mnie do jej przeczytania. Ktoś powiedział, że cała nasza kultura dąży do mistyki. Jabym to wyraził inaczej: cała nasza kultura, zwłaszcza w ostatnich czasach, ma charakter wybitnie metafizyczny. Aby to wykazać i sięgnąć do zagadnień psychiki społecznej, wystarczy zwrócić uwagę na sztukę, bo sztuka dla społeczeństwa jest tem samem, co dla pojedyńczego indywidyum świat marzeń. Sztuka dzisiejsza zrywa z twardą, konkretną rzeczywistością, aby, Ikarowym może lotem, lecieć w krainę nieznanego, tak jak buddysta burzy formy życia, aby się dostać w krainę śmierci. Czy jednak tylko sama sztuka? Zajęcie zagadnieniami metafizycznemi stało się już czemś powszechnem. Gazety, które czyta zarówno fiakier, jak i profesor uniwersytetu, umieszczają także dodatki metapsychiczne, co nie jest niczem innem, jak metafizyką popularną. Historja jednak wskazuje, że taka negacja rzeczywistości jest zawsze początkiem nowych prądów, po których następuje proces ich krystalizacji. Otóż mogą tego dokonać jedynie ludzie, którzy, że tak powiem, czują ciężar ziemi, którzy są między niebem a piekłem, bo ci jedynie mogą widzieć duchowo, co jest realne, jeszcze tu ziemi. Takim jest autor, po którego spuściźnie literackiej widzimy, że człowiek ten z twardego życia, czerpał kwiaty sztuki, jak jego zbiór nowel dowodzi. Skąd wziął się jednak ten podniebny lot autora? Otóż autor pisał tę książkę będąc niedaleko przed śmiercią.

Metafizykę można nazwać poematem śmierci, bo jest ona radosną reakcją na największe zło na ziemi, jakiem wydaje się śmierć. Jednak jak sztuka wyrasta z cierpienia, tak myśl metafizyczna najwyraźniej występuje u tych, którzy śmierci spojrzeli w oczy. W dramacie greckim, przed końcem tragicznym bohaterowie ulatują w krainę metafizyczną. Metafizyka nawet w życiu realnem pojawia się dopiero w bliskości śmierci. Nietzsche krańcowo uwielbiający życie pisał: „Choroba, — czyż można się bez niej obejść?". a właśnie jego filozofja jest potężnem „przeciw śmierci", Nawet w Polsce mieliśmy tego niedawno przykład, bo oto psychologja Abramowskiego w obliczu śmierci, zyskuje wymiar metafizyczny. Czy w takim razie mamy do czynienia z subjektywną wizją, czy też z rzeczywistem wyczuciem prawd metafizycznych? Bliskość śmierci czyni człowieka obojętnym na sprawy życiowe, dlatego nagie prawdy wtedy łatwiej się wyłaniają — zwłaszcza metafizyczne — subjektywnemi wrażeniami nie przyćmnione.

Książka autora nie jest więc czemś czysto abstrakcyjnem, ale zajmuje się tem, co nazwałbym metafizyką praktycznego życia. Autor na wziętych z życia przykładach, stara się wykazać słuszność prawd swoich. Zdawałoby się, że na ten temat może pisać człowiek tylko fachowo zajmujący się filozofją, — ale w naszych czasach nie jest to słuszne. Dlaczego? Ogólne dążenia metafizyczne stały się tem, co wielki filozof niemiecki Müller Freienfels nazywa „nieświadomą wolą masy". Jest w niej instynktowna mądrość, która musi być wyższą nad wszelkie mądrości indywidualne — pozbawione wyczucia ducha czasu i masy. Zbytnia uczoność często przeszkadza, aby uświadomić sobie to, czego chce — niewyraźnie i ciemno. Potrzebaby raczej syntetyzować to, co tkwi już w duszy ludowej. Dokonać może tego tylko artysta — poeta. Wola masy jest czemś żywem, co nieprzeparcie się rozwija i idzie w przyszłość, gdy w duszy artysty dążenia te idą o krok naprzód. I to wydaje się być istotnem znaczeniem tej ciekawej książki. Książka jest tak napisana, jak autorowi nasuwały się myśli — bez naukowych pretensyj, to też nadaje się ona jako lektura dla szerszej inteligencji, która w niej obudzi nie jedną ogólnoludzką ideę. Również dla filozofa może być ciekawa z tego względu, że jest właśnie odzwierciedleniem metafizycznych prądów w duszy narodu. (A. T.)

*

Parę lat temu oglądaliśmy na scenie „Pastorałkę", opracowaną przez Leona Schillera. Obecnie rzecz ta ukazała się w ładnej szacie książkowej, nakł. Instytutu Teatrów Ludowych. Całość składa się z dwóch tomów, z których jeden obejmuje tekst słowny, drugi — muzyczny. Oba teksty są sharmonizowaniem różnych elementów. Weszły tu pieśni Szamotulskiego, kolendy Symplicjusza Dachnowskiego i innych jego kolegów z XVII wieku, dalej pieśni i kolendy ludowe, motywy szopki krakowskiej, opracowanej niegdyś przez Krupskiego, a wreszcie i dodatki własne p. Schillera oraz jego współpracownika muzycznego, Jana Maklakiewicza. Wszystko to utrzymane w tonie możliwie jednolitym—a mia-

nowicie „sowizdrzalskim“. Przeważają sceny wesołe, zlekka rubaszne, niekiedy celujące wielkim dowcipem, zwłaszcza tam, gdzie się ukazuje postać „Żydka“. „Mniejszość narodowa“ ma tu i drugiego przedstawiciela, w osobie rabina, który daje Herodowi wykrętne odpowiedzi. Książkę wydano z zasiłku ministerstwa, a są w niej takie słowa: „straże, bijcie tego żyda!“ — pewno więc znów będzie nowy krzyk o pogromach żydowskich. Treść „Pastorałki“ podzielona na dziewięć „spraw“ z prologiem i epilogiem. Zaczyna się — od Adama i Ewy; grzech ich powodujący wygnanie z raju. Dalsze akty dzieją się w Betlejem, gdzie „Józef z Marją noclegu szukają“. Następują trzy „adoracje“: anielska, pasterska, królewska, przeplatane intermedjami, z których najlepszy jest „*actus pastoralis*“, pełen gwaru żywych postaci obok postaci umyślnie karykaturowanych (jak np. Korydon, przypominający Filona z „Balladyny“). Rzecz kończy się śmiercią Heroda — motyw „tańców śmierci“ jest tu pojęty w duchu ludowym. Wartość sceniczną utworu pomnażają bogate uwagi i wskazówki reżyserskie. „Pastorałka“ może liczyć na powodzenie zarówno w sferach wykształconych artystycznie, jak i wśród ludu wiejskiego, któremu jest zupełnie przystępna. (J. B.).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Tak się złożyło, że ostatnią powieść Dawida Garnetta „Szarańcza nadciąga“ („*The Grasshoppers Come*“) — przeczytałem zaraz po „Dziedzictwie“ Wybranowskiego. Nie wyszło to na dobre Anglikowi, a kontrast był ciekawy. Dwa światy różne. Logika, dorzeczność, świadomość celu, porządek w głowie polskiego autora, który snadź myśli, jak mówi i pisze, a zdala stoi od szkół literackich — i strach przed „pospolitością“, przymus sztucznego nieporządku, przymus pracowitej nonszalancji — u Anglika. Nie mogłeś oprzeć się wrażeniu, że *régime* nowszych konwencyj literackich odpowiada najlepiej słabszym mózgom i niezbyt pewnym siebie artystom. Oto uprzytomniało tę prawdę dziełko jednego z najlepszych beletrystów angielskich młodszego pokolenia. Opowiadało przygodę lotnika, co wyleciał z angielskiej wyspy, rozbił się w pustyniach Azji Środkowej, i jakiś czas, rozbitek, żył szarańczami. Krótka, a jednak za długa powiastka. Niestety o wiele słabsza od pierwszych, stosunkowo świetnych opowiadań fantastycznych młodego pisarza, takich, jak „Powrót żeglarza“ i „Pani przemieniona w lisa“. (W. C.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

INSTYTUT Literacki wydał dramaty Andrzeja Rybickiego, zebrane razem pod wspólnym tytułem „Kostium Arlekina“. Oczywiście ich ocena nie do mnie należy. Ponieważ jednak wydano książkę z dużą dbałością o jej szatę graficzną, pozwolę sobie zwrócić na nią uwagę czytelników. Tembardziej, iż jednocześnie wpadła mi w ręce recenzja o niej p. Ireny Krzywickiej („Wiadom. Literackie“). P. Krzywicka zwykle tak bardzo zajęta jest poprawianiem stylu innych pisarzy, iż niewiele czasu zapewne jej pozostaje na zajęcie się własnym. Ale mniejsza o to. Nas w danym wypadku obchodzi co innego. Mianowicie na końcu recenzji czytamy: „Ale czyż istotnie było rzeczą tak pilną luksusowe wydanie młodego dramaturga...“ Luksusowe? Czy p. Krzywicka uważa za luksus chęć nadania stronicom książki pewnego sensu w układzie? Czy luksusem jest dbałość o względnie staranne wykonanie pracy? A może dla pani K. wogóle wszystko jest luksusem, co przestaje być niechlujstwem? Książkę Rybickiego złożono nie ręcznie, a n a m a s z y n i e (linotyp), co wypada najtaniej. Wiadomo, iż składanie stanowi najpoważniejszą pozycję w budżecie książki. Papier użyty jest przyzwoitym, ale zupełnie normalnym papierem ofsetowym. Pozostaje układ graficzny. I tu właśnie należy podkreślić inicjatywę Instytutu (Kierownik Artur Górski), iż zerwał z dotychczas panującym szablonem. U nas bowiem wydaje się „luksusowo“ tylko raz na sto lat, „murowane“ arcydzieła. A luksus polega głównie na użyciu papieru czerpanego. Reszta — zwykle wołająca o pomstę do nieba. Taka książka, przeważnie b. droga, mija się z celem i żadnym czynnikiem propagandy, wpływającej na poziom kultury graficznej szerokich warstw czytelników, być nie może. Nielicznych rzesz bibljofilów zachęcać do do pięknej książki nie trzeba. Trzeba natomiast, aby zwykła książka, o zwykłej cenie, trafiająca do zwykłego czytelnika była podana tak, aby mogła urabiać jego smak estetyczny. Na tem polega właśnie demokratyzacja sztuki, której, jak widać, p. Krzywicka nie jest zwolenniczką.

Układ drukarski dzieł dramatycznych należy do najtrudniejszych, a zarazem i najwdzięczniejszych zadań artysty-drukarza. Sprawia to mnogość i różnorodność używanego tu materjału drukarskiego, którego zadaniem, bardziej niż gdzieindziej, jest uwydatnienie pewnych akcentów treści. To bogactwo elementów graficznych jednoczyć musi ład koncepcji, dozwalającej czytelnikowi na spokojne zanurzenie się w nurt nastroju, jaki chce suggerować autor. Trzeba przyznać, iż twórca szaty graficznej książki, p. Stanisław Ostoja-Chrostowski osiągnął wyniki wcale szczęśliwe. Cała książka składana jest antykwą Badeni, tekst garmondem, uwagi autora w nawiasach kursywą petitem. Imiona osób dramatu takiej samej wielkości czcionką, jak to, co mówią (t. zw. garmondem), tylko drukiem rozstawionym. Jest to pomysł szczęśliwy i świeży. Przy czytaniu utworów dramatycznych głośno, nieraz nas nużyło ciągłe powtarzanie tych samych imion osób rozmawiających. Taksamo przebiegając tekst oczyma doznajemy tego samego wrażenia, ale już nie słuchowego, tylko wzrokowego. Wtopienie imion w całość, z jednoczesnem dyskretnem ich zaznaczeniem, nadaje djalogom tok spokojny i skupiony. Takie wrażenie sprawia też cała książka.

Okładka, szlachetna w układzie, z szarego papieru dąbrowieckiego. W. P.

TEATR

W TEATRZE LETNIM

TEATR Letni w Saskim ogrodzie ma tę właściwość, że jest teatrem zimowym. Latem jest tam chłodno, a w zimie gorąco. Dla komedji lekkiej, gdzie często trzeba się rozbierać, jest to dobre. Gorzej dla sprawozdawców starszych, którzy muszą dbać o temperaturę „letnią“ i ze- i wewnętrzną zarówno w lecie, jak w zimie, wolną od przeciągów i wzruszeń.

Wystawiono tam obecnie komedję angielską Waltera Ellis’a p. t. „Omal nie noc poślubna“. Tytuł bardziej drastyczny, niż sama noc. Publiczność świadkiem, że nic strasznego się nie stało; w każdym razie była to, jak się pokazało z finału, noc przedślubna. Więc wszystko w porządku.

Publiczność zresztą wszystkoby darowała młodej i dobranej parze za piękną grę pp. Malickiej i Osterwy. Świetni ci artyści uczynili z błahej bądź co bądź komedji rzecz bardzo atrakcyjną. Pani Malicka z bardzo miłym humorem dobywała wdzięk z dobrodusznej po germańsku bohaterki. W polskiej komedji taka figurka nazywałaby się naiwną.

Spostrzeżenie na marginesie. Życie towarzyskie zwłaszcza kawiarniane, tak przesycone jest anegdotą żydowską, opowiadaną dla humoru z akcentem żydowskim, że aktorzy mimowoli w farsie w tę melodję wpadają. Jest to znamienny objaw.

W.

OFENSYWA

HERR BACZEWSKI AUS KAUNAS

FIGURA właściwie pół z wodewilu, a pół z Grand Guignolu, niby tylko humorystyczna, a w gruncie rzeczy bardzo szkodliwa i całkowicie dojrzała „pod topór kata".

Mowa jest o panu Herbaczewskim Albinie, lektorze czy też nawet docencie literatur słowiańskich przy uniwersytecie w stolicy Litwinów, w Kownie, gdzie już oddawna zamieszkał. Przez pierwsze lata działał tam pozytywnie, koncyljacyjnie na rzecz pogodzenia obu zwaśnionych o mur graniczny Raptusiewiczów. Był pełnym dobrej woli łącznikowym w dziedzinach kulturalnych. Nie pracował wydajnie i efektywnie, ale jakieś tam rezultaty jednak były. Lawirował między Scyllą a Charybdą, znosząc nawet pewne drobne szykany. Zmienił się całkowicie od czasu wizyty w Warszawie, gdzie cokolwiek wyolbrzymił i przejaskrawił swoją rolę i pozycję w Kownie, czego znów wynikiem było przyjęcie go w Belwederze i dłuższy, jak twierdził, djalog z centralną postacią. Od tego momentu i od tego miesiąca (lipiec 1928) ogorzał z kretesem i wróciwszy do Kowna zaczął patrzeć na siebie w lustrze jako na postać historyczną. Rozmowę z Piłsudskim rozdął do niesłychanych rozmiarów, potem ją zwielokrotnił, potem zaczął grać „męża zaufania" Belwederu, nie żałując manifestacyjnie swego kultu dla „przyjaciela z Sulejówka", no a wreszcie, co bywa często, psy zato wieszać na Polakach jako na szowinistach, a ze swego przyjaciela robić to Wallenroda litewskiego, który świadomie depopularyzuje i wyniszcza Polaków, to znowu przedstawiać jako niewinną ofiarę nienawiści drapieżności, wojowniczości i zaborczości endeckiej. W Kownie traktowano go i dawniej pół serjo, ale odkąd haftował na tle swojej przyjaźni z Kościeszą, z większem jednak zainteresowaniem. Z czasem i to znudziło Litwinów, a gdy nadto kilka razy wyrwał się publicystycznie niezgrabnie i drażniąco w dawnym swoim stylu (znanym z krakowskiego „Zielonego Balonika"), zgaszono go potężnie, między wierszami imputując hybrydyzm, dwupłciowość, obojnactwo narodowe. Aby się rehabilitować i ratować p. Albin Herbaczewski zmienił się na zaciekłego już nie szowinistę litewskiego, ale podjudzacza, podszczuwacza na Polskę i Polaków. To ni stąd ni zowąd wymyślał i gadał kazania Litwinom, to znowu bez opamiętania szkalował Polaków, wyraźnie i częstotliwie pouczając swoich chlebodawców, aby nigdy w niczem nie ufali Warszawie. W tyn sposób się wkupiał w łaski znaną manierą pospolitych renegatów.

Kiedy w listopadzie wybuchła na uniwersytetach polskich spontaniczna, i przez żadne stronnictwo nie komenderowana akcja przeciw hegemonji, supremacji, tupetowi i arogancji kolegów żydów, akcja taka sama, jakie bywają na uniwersytetach amerykańskich, niemieckich, austrjackich, węgierskich, rumuńskich, wogóle tam wszędzie, gdzie procent żydów jest nieprzyzwoity, w Kownie, które opanowała klika masońska, na 155 tysiącach żydów oparta i bezecnym *kulturkampf*'em osławiona, nagle ni stąd ni zowąd skorzystano z tego, aby zaaranżować chyba na *Befehl* telefoniczny posła niemieckiego — „Polenhecę". 19-tego lutego odbył się wiec z inicjatywą towarzystwa litewsko-żydowskiej współpracy, wiec przeciw „ekscesom antyżydowskim" w Wilnie, wiec w wielkiej sali tego Ratusza, który, nawiasem mówiąc, Polacy kiedyś zbudowali. Na wiecu przemawiał „redaktor" Rubinsztajn, „mecenas" Garfunkel, słynny dr. Purycki i prof. M. Biržyszka, przechodzący obecnie dość zresztą wytłumaczalną gorączkę antypolską. Po mowach rezolucje: „współczucie" i zaznaczanie, że w Litwie nikt nigdy nie tknął żyda.

Otóż już to przedewszystkiem jest kłamstwo. A co było nie tak dawno w Zoślach? A co w Słobodzie? A co znaczy taka depesza teraz przez „Żata" rozesłana:

„NOWA LITEWSKA USTAWA ROLNA UNIEMOŻLIWIA ŻYDOM NABYWANIE ROLI. Kowno. W tych dniach ukazała się nowa ustawa o warunkach, uprawniających do nabywania gruntów rolnych na Litwie. Do nabywania roli uprawnione są jedynie osoby, które same trudnią się pracą rolną i przynajmniej od jednego pokolenia są osiadłe na roli. Ustawa ta pozbawia Żydów litewskich wszelkiej możności zakupu roli. Wielu wypartych ze swych pozycyj gospodarczych Żydów zamierzało osiąść na roli, lecz nowa ustawa zabiera im i tę nadzieję".

Ale i przy tej okazji musiał wtrącić swe trzy grosze także nasz „Wyskoczka" Herbaczewski i zabrał głos w żargonowej „*Jidisze Stimme*", co potem przedrukowała Kłajpedzki niemiecki „*Memeler Dampsfbote*" (Nr 271, z 20.XI.1931):

„Za pogromy ponosi odpowiedzialność nie polska młodzież, a tylko polscy profesorowie i literaci. Tak np. niedawno znany pisarz polski K. H. Rostworowski napisał dramat „Antychryst" o nawskroś antysemickiej treści. Sztuka ta grana była w teatrze. Polscy literaci i socjolodzy, należący przeważnie do obozu endecji i chadecji od lat całych systematycznie podjudzają polską młodzież... Założona w Krakowie w 1916 r. organizacja, mająca na celu obronę Polski przed Żydami, masonami i międzynarodowym despotyzmem, stała się obecnie organizacją, szeroko rozgałęzioną w całej Polsce. Organizacja ta rozpowszechnia rezolucje swe wśród młodzieży polskiej stale. Rezolucje te skierowane są nietylko przeciwko Żydom, lecz również przeciwko Ukraińcom, Białorusinom, Litwinom i Niemcom, tak iż nie jest wykluczone, że po pogromach Żydów akademicy polscy nie zorganizują również pogromu przeciwko innym polskim mniejszościom. We wzmiankowanych rezolucjach oskarża się m. in. Żydów, że stanowią oni przeszkodę na drodze tendencyj polonizacyjnych na Ukrainie, Białej Rusi i polskim Górnym Śląsku, a w ten sposób udaremniają „świętą misję" Polski na wschodzie. Endecka prasa polska niedwuznacznie wyraziła swą solidarność z bohaterami pogromów, identyfikując się wprost z nimi. Wątpić należy — czy uda się obecnie Piłsudskiemu powstrzymać falę pogromów, która pod niejednym względem kieruje się również przeciwko jego ustrojowi. Żydzi są oskarżani o to, że popierają Piłsudskiego, aby Polaków uczynić swemi „pachołkami". Wpływ Dmowskiego, wodza narodowej demokracji, a śmiertelnego wroga Piłsudskiego jest obecnie duży".

Lichemu literatowi a tandetnemu politykierowi, który skończył „*Ecole des sciences politiques*" ale w Smorgoniach, nie będziemy wykładali rzeczy *per longum et latum*. Pouczymy go tylko, że w Litwie Kowieńskiej jest żydów 7,65% a w Wileńszczyźnie 14% przeszło. A znowuż jaki to *species* żydów, to pozwolimy sobie tu zacytować zdanie bardzo miarodajnego świadka i to jeszcze z r. 1893:

„Mamy tu w Wilnie dobrą połowę mieszkańców Żydów, w innych miastach liczba ich dochodzi do 3/4 ludności i cała ta masa ludzi nie ma nic wspólnego z otaczającą ją ludnością, nawet, przeciwnie, gotowa przeciwko niej stanąć. Jeżeli od 1863 roku rusyfikacja kraju zrobiła postępy, to właśnie wśród ludności żydowskiej. Każdy żyd, który się choć trochę wybił nad średni, nader niski poziom materjalny i umysłowy swych współwyznawców, staje się Rosjaninem, zaczyna się przejmować moskiewską kulturą. Nie pomaga tu wcale tak często policzkowanie Żydów przez rząd rosyjski, nie pomagają prześladowania i poniżanie godności ludzkiej; pomimo to wszystko garną się oni do prześladowców i uważają sobie za honor być tam, gdzie im publicznie drzwi wskazują".

A teraz: kto to pisał?

Oto J. Piłsudski („Pisma, mowy i rozkazy". Tom I).

Niechaj to zatem zrozumie tam w Kaunas p. Herbaczewski, od lat dwuch czy trzech cierpiący wyraźnie na rozdwojenie jaźni, czego wynikiem jest tylko na benefis Niemców idące szczucie Litwinów na Polaków, za co już dziś on sam zasługuje na rozdwojenie nazwiska: Herr Baczewsk aus Kaunas.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Dziennik Poznański" miewa z upojenia sanacyjnego widzenia apokaliptyczne przedziwnej plastyczności. Oto na gwiazdkę tak wieszczy:

„Mocarstwowa potęga państwa — oto żagiew płomiennej miłości społeczeństwa polskiego, które po linji ideologji Józefa Piłsudskiego chce iść w świetlaną przyszłość, jako jedno bijące serce, a nie jako twór miljonów „indywidualności" o twarzach, wykrzywionych zawiścią partyjną".

Gdyby to namalować, byłoby na co patrzeć.

Po linji Piłsudskiego — powiedzmy ulicą Marszałkowską, idzie w światła elektryczne (i skręca na Królewską) „bijące Serce"...

Czem i kogo bije to Serce?

Bije żagwią. Bije Potwora, który ma „miljon twarzy, wykrzywionych zawiścią partyjną". To Naród.

Czemu bije? Z miłości. Kocha za miljony i za miljony bije.

Tak sobie wyobraża „Dziennik Poznański" „Mocarstwową potęgę Państwa".

DLA PRZECHOWYWANIA ROCZNIKÓW „MYSLI NARODOWEJ"

przygotowaliśmy na żądanie naszych prenumeratorów artystycznie wykonane teczki z grubej tektury, oprawne w angielskie płótno ze złoconemi napisami i oznaczeniem roku na froncie i grzbiecie. **Teczki koloru bronzowego lub czarnego, mogą być zamawiane na bieżący i przyszły rok, także i dla dawniejszych roczników.** Cena teczki dla jednego rocznika, przy odbiorze w naszej administracji wynosi **6** zł., z dostarczeniem do mieszkania w Warszawie **6** zł. **50** gr., z przesyłką pocztową poleconą **7** zł. **30** gr. Teczki, jedną lub więcej, wysyłamy po wpłaceniu należności na Konto czekowe P. K. O. Nr. 3105. lub też nadesłaniu razem z prenumeratą do Administracji „MYŚLI NARODOWEJ". — W Warszawie, teczki na żądanie dostarczą akwizytorzy przy odbiorze prenumeraty.

„MYŚL NARODOWA"

OTWARTA PRENUMERATA
na 1932 rok

CENA Z DOSTAWĄ:

W KRAJU:		ZAGRANICĄ:	
rocznie	zł. 32.—	rocznie	zł. 45.—
półrocznie . .	„ 17.—	półrocznie . .	„ 24.—
kwartalnie . .	„ 9.—	kwartalnie . .	„ 12.—

Konto czekowe na P. K. O. Nr. 3.105.

ADRES ADMINISTRACJI:
Warszawa, al. Jerozolimska 17

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.